№ 5. Warszawa, dnia 2 Lutego (21 Stycznia) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

ZWYCIĘZTWO BOULANGERA.

Posłem do Izby deputowanych 27 stycznia 1889 r. wybrany został w Paryżu Boulanger.

W którym z wyrazów tej prostej wiadomości ukryła się baterya potężnej siły, która wstrząsnęła nietylko Paryżem i Francyą, ale całym światem ucywilizowanym? Czemu owego dnia wyczekiwano wszędzie z niecierpliwością? Czemu echo nowiny odbiło się aż o dalekie krańce? Czemu w Warszawie rozchwytywano telegramy? Czemu rząd francuski znalazł się w kłopocie, a Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie? Przecież tylko Boulanger zwyciężył przy urnie wyborczej Jacques'a, przecież tylko do Izby wszedł jeden poseł, którego stronnictwo stanowi w niej nikłą mniejszość, przecież ten sam Boulanger zdobył mandaty poprzednie w kilku okręgach. Skądże ta trwoga, gwar, okrzyki tryumfu i zgrozy? Wszystkie te pytania odsłaniają nam w całej wyrazistości fakt, do jakiego stopnia Francya jest Paryżem, do jakiego stopnia ona ginie w jednem mieście. Jest to smutna resztka dawnego rządu, który wyposażał wszelkimi blaskami stolicę, zaniedbując prowincyę, który z niej uczynił świetne ognisko, rzucające na kraj jasność krótkim promieniem, a na obszarach po za granicami tego koła pozwalał spoczywać gęstym mrokom. Wszakże niedaleko od „słońca“ rozpościerały się ciemne, prawie barbarzyńskie kręgi, w których lud, jak zwierzęta, kopał sobie nory i osłaniał niemi swoją nędzę. Rzeczpospolita, oblawszy naftą i spaliwszy gmachy cesarstwa, obrzuciwszy jego pamięć złorzeczeniami, pozostawiła to, co naprzód przerobić była powinna — zasady życia polityczno-społecznego. Uwierzyła W. Hugo, że Paryż jest „sercem“ Francyi i Europy, że dopóki to serce dobrze działa, Francya i Europa mogą być spokojne o swe zdrowie. I oto nagle osiadł w nim Boulanger. Dopóki zwyciężał współzawodników republikańskich w innych okręgach, wydrwiwano go, lekceważono, nawet po pewnem niefortunnem wystąpieniu w Izbie ogłoszono, że sromotnie i ostatecznie zakończył swoją rolę. Dopiero kiedy został wybrany w „sercu,“ w Paryżu, powstała wrzawa, która udzieliła się innym narodom, utożsamiającym również Francyę z jej stolicą.

A teraz zastanówmy się, dlaczego owo „serce“ go wybrało. Naprzód dlatego, że w swych kłamstwach, krętaninie, bladze i warcholstwie posiada urok jednej słusznej i niewątpliwej prawdy — wykazuje niedołęztwo, rozstrój i zgniliznę obecnej Izby. Wszystkie afisze republikańskie nie zdołają zalepić faktu, że od lat kilku zwłaszcza jest ona targowiskiem osobistych lub stronniczych interesów, polem kłótni i skandalów, źródłem ciągłej gorączki kraju, przeszkodą do utrwalenia się jakiegokolwiek ładu, jakiejkolwiek ciągłości rządów. Co parę miesięcy strąca jeden gabinet, a powołuje drugi, któremu odrazu nie zapowiada dłuższego istnienia, z którym ciągle drze się, bezcześci go, udaremnia wszelkie jego zamiary, a przytem osłabia powagę władzy wewnątrz i powagę siły narodu zewnątrz. Ta choroba nie ulega zaprzeczeniu, jest widoczną, bardzo groźną i dla spekulacyi politycznej bardzo przydatną. Jest to nieszczęściem, że na niej oparł swą działalność i swe ataki Boulanger, nie ktoś inny większej od niego miary i wartości, ale ona tłomaczy co najmniej w połowie jego pochód tryumfalny.

Drugą połowę zawdzięcza on pierwiastkom krwi „serca.“ Przeważa w niej obdarty lub wystrojony, głodny lub syty, głupi lub ukształcony motłoch, masa, która swą nędzną lub dostatnią egzystencyę czerpie głównie ze zbytku. Czem jest dla niej Paryż republikański, Paryż, w którym buchalterowie, adwokaci, inżenierzy zostają ministrami lub prezydentami? Czy ona, pamiętając czasy Napoleona, czasy przepychu, świetności, wszelkich blichtrów i szalonego ożywienia, może się pogodzić z dobą, w której zwierzchnik państwa oszczędza franki i centimy, zaprasza do siebie skromne kółko przyjaciół, targuje się w sklepach o cenę towarów, nie wydaje balów i nie rzuca milionami? Taka prostota nie podobałaby się wielu mieszkańcom stolic, a najmniej paryżanom, wielbicielom okazałości zewnętrznej, którzy tam przerośli liczbą milion. Więc gdy Boulanger obiecuje im nietylko zaprowadzenie ładu w państwie, ale nadto daje do zrozumienia, że nie będzie niem sterował jako prosty „bourgeois“ — czyż mają go nie wybrać? Musieliby wtedy pogwałcić swoje instynkty, upodobania i nałogi. On otwiera szeroko upust ich namiętnościom — więc — *vive Boulanger!*

Do tego dodajmy jeszcze jeden ważny wzgląd. Kto nie odurzał się doktrynerstwem, ten uznać musi, że Rzeczpospolita okuta ciężkim pancerzem militaryzmu jest dziwolągiem, sprzecznością samą w sobie. Z jednej bowiem strony ma ona urzeczywistniać ideały swobody, równości, braterstwa, pracy w pokoju, z drugiej rozwijać system wręcz tym ideałom przeciwny. Wygląda to tak, jak gdyby towarzystwo wstrzemięźliwości mnożyło karczmy i zachęcało ludzi do pijaństwa. Francya wydaje rocznie przeszło 300 milionów na wojsko, wystawiła olbrzymią armię i ta armia nie ma głowy a obecnie zostaje pod zwierzchnictwem inżeniera. Czy naród, który nie rozstał się z myślą odwetu, który chce być pierwszorzędną potęgą militarną, który wszędzie widzi wodzów, przeznaczonych do odegrania ról kierowniczych w grożących ciągle a olbrzy-

mich zapasach wojennych, nie czuje się zatrwożonym?

Oto są czynniki, które złożyły się na zwycięztwo Boulangera i nadały mu doniosłe znaczenie. Może on upaść, zabić się własną nicością, być wypartym przez zręczniejszego awanturnika lub znakomitego patryotę, w każdym razie zrobiona przez niego szczerba w twierdzy Rzeczypospolitej już nie będzie załataną: ktoś przez ten wyłom wejdzie. Ani bezrząd Izby, ani bezgłowie armii nie utrzymają się.

ARCYKSIĄŻĘ RUDOLF.

Z potwornem okrucieństwem przekreśla często rzeczywistość rachuby i nadzieje ludzkie. Istotnie, spadają gromy z pogodnego nieba. Patrzymy na taki widok w ciągu roku już po raz drugi. Kiedy Wilhelm I doczekał się prawnuka, widział przyszłość Niemiec daleko po za swym grobem ubezpieczoną pod konarami rozrosłej dynastyi. I oto nagle śmierć odłamuje z tego drzewa najpiękniejszą i pozornie najzdrowszą gałąź — po rozpaczliwej walce z nieuleczalną chorobą ginie Fryderyk III. Zgon ten nietylko gromadzi chmury złych przewidywań nad domem cesarskim, ale gasi gwiazdę narodu, który pod jej przewodnictwem obiecywał sobie zmianę drogi swego rozwoju i wielkie na niej postępy.

W Austryi również dojrzał i na przejęcie korony od ojca czekał godny jej dziedzic — arcyksiążę Rudolf. O ile na tem stanowisku człowiek może złożyć dowody rozumu i dobrej woli, budzące miłość i ufność w poddanych, o tyle on je złożył. Kształci się gruntownie, prowadzi samodzielnie badania naukowe na polu przyrodoznawstwa, poznaje naturalne i etnologiczne odrębności swego państwa, przedstawia je „w obrazie i słowie“ pomnikowego dzieła, okazuje doskonałe rozumienie ducha czasu, nie kryje swego szacunku i uznania dla uprawnionych dążeń narodowych wielo-żywiołowej monarchii — i w chwili, gdy stał się przedmiotem miłości i czci tych, którymi rządzić będzie, pada ugodzony nagłą śmiercią.

Z tragicznością tego wypadku wiąże się niebezpieczeństwo jego następstw. Nieboszczyk był jedynym synem cesarza austryackiego, który teraz przekazać musi tron bratu. Ale ks. Karol Ludwik, nie spodziewając się objąć tej roli, nie przygotował się do niej nawiązaniem odpowiednich i ścisłych węzłów z poddanymi. Byłoby to ważnem wszędzie, a ma szczególne znaczenie w Austryi, której różnorodny zlepek trzyma się głównie unią osobistą, jest zjednoczony głową panującego. Państwo nawskróś dynastyczne musi ucierpieć od klęski dynastycznej. Dziś niepodobna wróżyć, zwłaszcza pod wrażeniem wypadku, który tak urąga oczekiwaniom ludzkim; zdaje nam się wszakże, iż śmierć arcyksięcia Rudolfa potężnie oddziała na rozkład Austryi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przyjęcie ustawy wojskowej w sejmie węgierskim, przedłużającej jednoroczną służbę w armii do lat dwu, wywołała gorszące sceny w Izbie i po za nią. Opozycya połączyła się ze studentami, głównie dotkniętymi nowem prawem, nastąpiły zbiegowiska, które trzeba było rozpędzić przy pomocy wojska, krzyki uliczne, bójki itd. Deszcz łez jednak po śmierci następcy tronu prawdopodobnie szybko ugasi ten pożar namiętności. Wielki smutek wybawi Tiszę z małego.

I zwycięztwo Boulangera, wraz z całym orszakiem skandalów iście paryskich, przestanie zajmować uwagę publiczną, którą pochłonął wypadek tak ogromnej wagi, jak osierocenie tronu austryackiego. Spycha on również z porządku dziennego i kilkumilionowy gszeft niemców, podjęty na wschodnich wybrzeżach Afryki, i wyprawę Wissmana, i utarczki ks. Bismarka z przeciwnikami awantur kolonizacyjnych i wszystko, co w ostatnich dniach poruszało piórami dziennikarskiemi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 25 stycznia.

Nawał wrażeń. — Wybory do rady miejskiej. — Kilka uwag o życiu publicznem. — Prezydent miasta.— Sejm. — Sprawa propinacyjna. — Święta karczma.— Miliony za świętość. — Sprawa kukizowska. — Szlachecka rodzina przed trybunałem kryminalnym. — Straszna zbrodnia. — Upadek kasty „przodującej.“

Jestem w nielada kłopocie. Od czego zacząć sprawozdanie z gorączkowych chwil tutejszego życia w obecnej dobie? Nawał wrażeń denerwujących przygnębia mnie formalnie. Równocześnie wybory do rady miejskiej na nową trzechletnią kadencyę, rozgłośna sprawa kryminalna, t. z. kukizowska, kłótnia o propinacyę galicyjską, powódź śpiewaczek, koncertantów, jubilatów, bankiety, obchody, zgromadzenia przedwyborcze itd. itd. Tego wszystkiego istotnie za wiele na zwykłego śmiertelnika. Trzeba mieć nerwy jak postronki, ażeby przeżyć ten gorący czas. A jednak, jak zauważyłem, śmiertelność zupełnie się nie zwiększyła, przeciwnie, ten gorączkowy ruch jakoś służy moim spółobywatelom.

Wybór stu radnych na trzy lata — to kęs nielada do zgryzienia. Na przeszło 6 tysięcy wyborców jest co najmniej połowa kandydatów jawnych do krzeseł, a co ważniejsza — do zyskownych przedsiębiorstw, które na tych krzesłach łatwo dla siebie lub swych najbliższych można pochwycić. Trzeba bowiem wiedzieć, że miasto Lwów, samo przez się wcale majętne, ma jeszcze w swym zarządzie rozmaite zakłady i fundacye. Otóż zaopatrywanie rozmaitych potrzeb miasta, dalej dostawy do tych zakładów i fundacyj dobroczynnych, to smaczne kąski dla wielu Katonów, głośno narzekających na ciężkie czasy i rozwielmożniające się zepsucie społeczeństwa, a po cichu maczających ręce w groszu publicznym lub też obracających swą pieczeń przy ogniu dobra publicznego. W takim składzie rzeczy nie dziw, że komitetów przedwyborczych jest sporo, a list kandydatów — nie mniej. W tej chwili, na kilka dni przed wyborami, krążą jawnie

---

5)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

III.

REGINA

dramat w trzech aktach

przez

W. Okońskiego.

SCENA III.

Gala i Regina.

Regina.

Nareszcie! Jakże ja pana niecierpliwie wyczekiwałam! (*Podaje mu rękę, którą on całuje*).

Gala.

Spieszyłem się.

Regina.

Już zaczęłam drżeć o życie pańskie.

Gala.

Ach, czyż ono warte niepokoju pani! Zmarudziłem trochę w pogoni za oddziałami Tipu-Tipa, które teraz przemykają się bocznemi drogami. Zdołałem jednak obciąć mu złodziejskie sakwy. Mamy trzydziestu oswobodzonych ludzi, kilka pudów kości słoniowej i ze dwieście piór strusich.

Regina.

Ślicznie pan się sprawiłeś. Ale ja nie dam długo odpoczywać na tych wawrzynach. Już obmyśliłam dla pana nowe trudy.

Gala.

Nowe rozkosze. Jakakolwiek jest wola pani, każda stanie się mojem dobrem, jeśli ją spełnię. Nie przestań pani nigdy mi rozkazywać — o to zawsze prosić będę.

Regina.

A ja o to, żobyś pan się zbyt nie poniżał.

Gala.

My murzyni jesteśmy stworzeni do niewoli i pragniemy tego tylko, ażebyśmy ją swobodnie wybierać sobie mogli.

Regina.

I ja mam z panem pracować nad wyzwalaniem was?

Gala.

Nad uszczęśliwianiem.

Regina.

Przedewszystkiem zrównaj się pan z nami, zanim innych zrównasz z sobą. Chcę panu przedstawić całkowicie mój plan, którego już część urzeczywistniliśmy.

Gala.

Uważnie słuchać go będę, ażebym nie pomylił się w wykonaniu mojej służby.

Regina.

Uparty pan jesteś, ale tymczasem mniejsza o to, bo mamy sprawę ważniejszą. Wszystkie zamiary nasze, z którymi tu przybyliśmy, zyskały podstawę. Powinniśmy je teraz uporządkować, związać i rozwinąć. Szkoła roztacza wpływ zbawienny i szeroki, szpital, o ile starczą siły i wiedza takiej, jak ja, siostry miłosierdzia, daje biedakom niewątpliwą pomoc. To są dwa pola pracy dobroczynnej nasze — moje i ojca Makarego. Plantacye kawy, dla których zakupiłam ziemię, dadzą nam środki utrzymania a oswobodzonym niewolnikom zarobek. Chociaż w założeniu stacyi handlowej przyjęliśmy udział i mamy tam nieco towarów, pragnę ażeby ona pozostała wyłączną własnością pana.

Gala.

Nigdy.

Regina.

Zobowiązałeś się pan ulegać mojej woli. Jesteś kupcem, wniosłeś do tego przedsięwzięcia kapitał, doświadczenie i stosunki, słusznie więc, ażebyś je posiadł bez podziału. Jeżeli będziesz życzliwym pośrednikiem w sprzedaży naszych produktów, skorzystamy na tem bardzo wiele. Działania zaś nasze łączyć się będą w tym wspólnym celu, że ja i ojciec Makary damy tutejszej ludności oświatę, opiekę i zarobek, pan zaś — przyjacielski rynek dla handlu i swobodę.

Gala.

Swobodę? Ja?

Regina.

Nie pojmuję tego zdziwienia. Naprzód ci wszyscy, którzy jako wolni ludzie są na-

cztery listy, dwie popierające t. z. inteligencyę i mieszczaństwo dość równomiernie, a dwie wykluczające niemal inteligencyę od udziału w zarządzie miasta. Te ostatnie zdradzają zbyt jawnie, że ręce, które je wydały, chciałyby osobistymi interesami więcej się zająć, niż dobrem ogólnem — to też niema nadziei, ażeby zbyt silne uzyskały poparcie. Zgromadzenia przedwyborcze od kilku tygodni odbywają się prawie codziennie i to bardzo ożywione. Nie mogę zaprzeczyć, że świadczy to korzystnie o zainteresowaniu się mieszkańców sprawami ogólnemi, życiem publicznem i że niejedna dobra myśl tam się wynurza. Z drugiej strony jednak podnieść muszę, że najpoważniejsi ludzie nie biorą w nich udziału i że wogóle od wielu już lat nie zjawia się na arenie tutejszego życia publicznego człowiek, któryby zabłysnął potężną inteligencyą, energią, inicyatywą i pociągnął za sobą drugich, lecz że z konieczności przebiera się między ludźmi co najwyżej średniej miary. Prawdopodobnem też jest, że z wyborów wyjdzie teraźniejszy prezydent miasta, p. Edmund Mochnacki, radca wydziału krajowego, który w czasie ubiegłej kadencyi starał się przedewszystkiem o to, aby nikomu się nie narazić i uzyskać mandat i godność prezydenta na dalsze trzechlecie. Dzienniki tutejsze stale dodają do jego nazwiska przymiotnik „zacny“ (częściej poufale „nasz zacny“), a jakkolwiek nic z moralnej strony przeciwko jego osobie podnieść bym nie mógł, zastanowiło mię to, że taka właśnie jedyna kwalifikacya przy wyborach ma znaczenie. Wyznaję szczerze, że do przewodniczenia radzie miejskiej i reprezentowania stolicy kraju, miasta o 120 tysiącach ludności, zdałoby się jeszcze coś więcej. Ponieważ jednak obiecany Mesyasz nam się nie zjawia, przeto drogą ugody ster miasta złożony będzie prawie na pewno w ręce p. Mochnackiego.

Tą samą drogą ubija się sprawa wykupna propinacyi. Sejm wlókł się rozpaczliwie nudno. Każdy prawie właściciel karczmy, którą poseł Lassocki ochrzcił mianem świętości naszej, stawał z projektem wykupu propinacyi oczywiście w takich warunkach, ażeby autor projektu dostał za swoją świętość jaknajwięcej mamony. W całem państwie zalatwiono się już z tą pozostałością średniowiecznych stosunków feodalnych, a u nas trwały wciąż obrzydliwe targi. Kto wie, na czemby się sprawa skończyła, gdyby nie ostrzeżenie namiestnika, że sejm w sobotę 26 stycznia musi być zamknięty i gdyby nie uwagi oględnych, że w razie niezałatwienia sprawy, rząd zrażony tem może bardzo podkopać dochody z propinacyi. Otrzeźwiono się nieco tem bardziej, że niejednemu przypływ złotej żyły w tych ciężkich czasach bardzo się uśmiecha. Zgodzono się przyjąć za podstawę projektu wykupna sumę 62 milionów 700 tysięcy złr., a na uwagę komisarza rządowego, że rząd może przyjąć tylko kwotę 60 milionów 200 tysięcy złr., zdecydowano się z bólem serca opuścić jeszcze pół miliona złr. z żądanej sumy. Dwa miliony złr. jeszcze w grze, ale projekt wykupu już na pewno przejdzie przez głosy sejmu, a niejedna karczma istotnie będzie mogła służyć właścicielowi swemu jako przedmiot czci i uwielbienia, bo da mu możność otrząśnięcia się z gniotących go ciężarów i poda środki do wesołej zabawy. Ciekawa tylko rzecz, czy z tych 60 milionów co zostanie w samej Galicyi i o ile też hipoteka dóbr galicyjskich po przeprowadzonym wykupie prawa propinacyi oczyści się z długów, jak wiadomo, po nad miarę obciążających właścicieli ziemskich?! To pewna, że na wystawę paryską i do wód zagranicznych, a oczywiście i do Monte Carlo, podąży w tym roku znaczniejsza, niż zazwyczaj liczba naszych ziomków.

Mógłby ktoś mi zarzucić, że tendencyjnie ujemnie przedstawiam tutejsze społeczeństwo, a zwlaszcza klasę obywateli ziemskich. A więc kilka słów przedmiotowo o t. z. sprawie kukizowskiej. Gorączkujeona nietylko Lwów cały, ale szerokie koła społeczeństwa naszego, zwłaszcza szlacheckie, interesują się nią osoby wysokiego stanowiska i znaczenia, bardzo szczegółowo rozpisują się o niej dzienniki, a przebiegu jej cała opinia publiczna śledzi z niezwykłą pilnością od dwu tygodni.

Przed trybunałem sądu przysięgłych stanęli matka i syn: Marya z Polanowskich Strzelecka i Aleksander Strzelecki, właściciel dóbr ziemskich, osoby spokrewnione niemal z całą wielką rodziną szlachecką, tem więcej zwracające na siebie uwagę, że rodzony brat oskarżonej, Stanisław Strzelecki, pan na Moszkowie i Ostrowie, jest parem austryackim i marszałkiem powiatu sokalskiego, a w życiu publicznem bardzo żywy bierze udział. Zresztą od Lwowa do Sokala w pasie dziesięciu mil rodzina Polanowskich i majątki w swem ręku dzierży i prym wiedzie w powiatach żółkiewskim i sokalskim, od dawnych czasów ciesząc się opinią niezwykłej zacności, bogobojności, patryotyzmu i uczciwości.

Otóż z takiej to rodziny dwie osoby, matka 67-letnia wdowa i syn 29-letni, stoją przed sądem, oskarżeni o to, że w zamiarze zabicia księdza Jana Tchórznickiego i zagarnięcia gwałtem jego majątku w nocy z 29 na 30 lipca 1888 r. w Kukizowie bronią morderczą zadali mu w czasie snu i w stanie nieprzytomnym znajdującemu się, zdradziecko liczne ciężkie uszkodzenia ciała, z niebezpieczeństwem dla życia połączone, a majątek jego rzeczywiście sobie przywłaszczyli.

Ksiądz T. ocalał szczęśliwie, Strzeleccy więc odpowiadają za zbrodnię jedynie usiłowanego morderstwa.

Sprawa to niesłychanie zajmująca i ze stanowiska społecznego i kryminalnego. Oskarżeni bowiem zestawiają rozmaite dowody na wykazanie swojego *alibi* a przemożna opinia staje po ich stronie, opierając się i na braku bezpośrednich dowodów ich winy i na dobrem imieniu, jakiego oskarżona p. Strzelecka przez całe swe życie zażywała. Jakżeby przypuścić, aby taka religijna, zacna, godna osoba, kobieta, dopuściła się morderstwa i to na osobie księdza, 85-letniego staruszka, który przeszło 40 lat z nią razem żył w Kukizowie patrząc na dwa pokolenia Strzeleckich?

Z drugiej strony troskliwie przeprowadzone śledztwo zebrało cały szereg dosadnych poszlak, zacieśniających koło możliwych zbrodniarzy i wskazujących na zaślepioną matkę i lekkomyślnego syna. Przez całe trzy tygodnie od wypadku opierał się sędzia śledczy takiemu podejrzeniu, ze względu na stanowisko oskarżonych niemal nieprawdopodobnemu a przez ten czas usunięto niejeden ślad bezpowrotnie. Nadto jakkolwiek ofiara zamachu żyje, jednak napadnięty zdradziecko w czasie snu świadomości o samym napadzie nie ma i na tym punkcie wyjaśnienia dać nie może. O ile zaś jego zeznania w innym kierunku obciążają Strzeleckich, łatwo je zbić argumen-

---

szymi robotnikami, panu zawdzięczają niezależność; powtórę jeszcze nie wypowiedziałam całego mojego planu. Według mnie potrzeba, ażeby oprócz pańskiego, podobne oddziały zbrojne, tępiące handel niewolnikami i walczące z Tipu-Tipem, tworzyły się dalej w głąb kraju pod przewodnictwem ucywilizowanych murzynów, których ojciec Makary odpowiednio do tej roli kształci. Oddziały te, skojarzywszy swoje działania, mogłyby wytworzyć siłę pożądaną dla zatamowania wszystkich dopływów niecnego targowiska. To jest pierwsze zadanie pańskie. Drugiem, dalszem powinno być wejście w związek z podróżnikami europejskimi, a zwłaszcza ze Stanleyem, który obecnie przebywa nad Kongiem. Ściśnięci z kilku stron jednocześnie handlarze niewolników musieliby uledz.

Gala.

Cokolwiek pani uzna za potrzebne i stosowne, to ja uznam za święte. Ale ośmielę się wyrazić wątpliwość o dobrych chęciach europejczyków w tym względzie, nie wyłączając nawet Stanleya. Wszyscy oni są albo obojętnymi na niedolę murzynów badaczami, albo jeszcze obojętniejszymi kupcami.

Regina.

Uwaga pańska jest po części słuszną, gdyż europejczycy przybywają tu nie dla wspierania was, ale dla poznania lub wyzyskania. Ich wszakże cywilizacya, chociaż zapraviona egoizmem a często nieprawością, pewien osad dobry po sobie zostawia. Natomiast klęską, szarańczą Afryki są arabowie — ciemni, okrutni, chciwi i podli, którzy was obdzierają i tępią. Przeciw nim więc należy zwrócić wszystkie ostrza obrony. Gdybym była, jak pan, synem tej ziemi i odczuwała jej bóle, poprzysięgłabym dośmiertną zemstę tym wężom dusicielom, tym drapieżnym szakalom, tym grabarzom waszej rasy.

Gala.

Przysięgam.

Regina.

Wierzę, i bodajby każda godzina stwarzała podobnych panu tysiące. Jeden bowiem, nawet najpotężniejszy wysiłek może tu być zaledwie hasłem zmartwychwstania, dopóki same ofiary pomagają swym katom. Bez współudziału królików murzyńskich, bez tych dostawców żywego towaru, arabowie nie prowadziliby niecnego handlu. Ale wy jesteście najmniej winni: przez wieki całe obłudni apostołowie pracowali nad upodleniem was. Nie upłynęło jeszcze sto lat od czasu, kiedy dostojnicy kościelni założyli Towarzystwo szerzenia chrześciaństwa, które kapitały na ten cel czerpało ze sprzedaży murzynów do Indyj zachodnich. Czy wobec tego można się dziwić barbarzyńskim wodzom waszych plemion, dzierżącym zamiast bereł ogony bawole i tańczącym na jarmarkach? Europa ratować was nie zechce i nie może, wy przedewszystkiem musicie ratować się sami. Bądź pan dumnym, ambitnym, zuchwałym, a kto wie, czy nie zostaniesz wielkim. Jeżeli kukułki europejskie w waszych gniazdach składają swoje jaja, jeżeli anglicy, francuzi, niemcy wprowadzają tu skrzynie, z których niespodziewanie wysypują się gnębiciele, jeżeli każdy z tych narodów uderza zdradziecko w wasze piersi sztyletem owiniętym w traktaty handlowe i usiłuje z waszej ziemi wykroić sobie państewko, jeżeli nawet papież w suknie kapłańskie ubiera przysyłanych tu werbowników, czemuż jeden z was, pan nie miałbyś sięgnąć po władzę nad swoimi? Czemuż byś nie miał odegnać rąk obcych, zatopionych w waszej kieszeni lub ściśniętych na waszem gardle? Byle awanturnik lub przekupień europejski chce być waszym władcą, czemu pan o tem nie zamarzysz? Rozpuść daleko promienie swego wpływu, zwiąż nim współziomków, wytwórz z nich dla swej działalności szeroką podstawę, zapanuj nad nimi rozumem i uczciwością a nad wrogami potęgą — zostań monarchą murzynów!

Gala.

Pani mądra i dobra, twe słowa zakręciły szalony wir w mojej głowie, śpiewają mi w uszach odurzającą muzykę a przed oczami migocą światłem błyskawic. Otoczył mnie krąg widm kuszących... Ale czy ja, bezwiedny oręż w twej ręce, odbite echo twej woli, sprostam takiemu zadaniu? Gdybyś pani weszła we mnie jako moja dusza, gdybyś niedźwiedzią mną jak chmura gromem, rozdzierałbym góry i rozdmuchiwał je jak kupki piasku.

Regina.

Czyż panu odmawiam rady?

tem, że to mówi starzec 85-letni, którego pamięć zamroczona wypadkiem i który zresztą, jako maniak, zanadto myśli swe w kierunku tej manii skierował. Ksiądz Tchórznicki bowiem całe życie swe poświęcił zbieraniu pieniędzy, o nich marzy, na tym punkcie jest najbardziej drażliwy. Zgromadził też pokaźną kwotę stu kilkudziesięciu tysięcy złr., których z rąk swych wypuścić a nawet zagrożony śmiercią rozporządzić nimi nie chce, oburzając się na wszelkie propozycye co do rozporządzenia swym majątkiem. Właśnie w tem tkwi rdzeń sprawy. Oskarżona bowiem twierdzi, że po wypadku otrzymała od księdza 80 tysięcy papierów wartościowych w depozyt, a raczej, że dostała klucz od tych pieniędzy i ten depozyt u siebie przechowała a w trzy tygodnie po wypadku o tem sędziemu śledczemu powiedziała, ksiądz zaś, badany w tym kierunku, oburza się na myśl, aby dawał pieniądze a pytany o klucz przed jednymi mówi, że dawał, przed innymi zaś, że nie. Charakterystyczne jednak jest, że p. Strzelecka wzięła papiery na okaziciela, ponieważ zaś w szafie księdza pozostały papiery imienne lub zastrzeżone, że w każdym rodzaju papierów wartościowych taki sam podział nastąpił, tak, że w szafie księdza znaleziono około 35 tysięcy złr. tylko zastrzeżonych lub imiennych a w depozycie p. Strzeleckiej były jedynie papiery na okaziciela. Ponieważ o księdzu myślano, że ma co najwyżej 30—40 tysięcy majątku więc wobec danych śledztwa mimowoli nasuwa się podejrzenie, że po prostu chciano się podzielić jego spadkiem i to w sposób ohydny.

Jakkolwiek wypadnie wynik sądu, znaczenie sprawy doniosłe pozostanie. Akt oskarżenia i sama rozprawa odkrywa cały szereg szczegółów, które w surowej nagości odsłaniają nam, dlaczego w Poznańskiem tak łatwo komisya kolonizacyjna zdobywa majątki szlacheckie. Upadek materyalny i moralny tej przedującej niby narodowi kasty widnieje na każdym punkcie. Jak w sprawie propinacyjnej wstrętny targ o pieniądze, tak i w życiu codziennem wszystko na kartę, byle zdobyć pieniądze. Piękny majątek wartości kilkukroć sto tysięcy złr. roztrwoniony, dwór to niechlujna nora, w której drzwi podpierano starą maślnicą a pracujący murarze pozostawiali swe narzędzia w sypialni dworskiej, właściciel uganiający się za dziewkami po wsi lub przepędzający noce we Lwowie w tingltanglu — wszystko razem tworzy obraz upadku, nędzy i zniszczenia. Nasuwających się mimowoli uwag i wielu szczegółów charakterystycznych na teraz nie kreślę, bo w przyszłym liście po ukończeniu sprawy napisać o nich zamierzam.

Mamże po tem wszystkiem mówić o zabawach, koncertach, teatrze? Chyba dość na dziś.

Leszek.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 26 sierpnia.

Odczyt o stosunku Słowackiego do Mickiewicza i Krasińskiego. — Koncerty Marcelego Tyberga i J. J. Paderewskiego. — Hrabia polski autorem niemieckiego dramatu. — „Die drei Pintos,“ opera Webera. — Wystawa akwareli w Künstlerhausie. — Wystawa w Kunstvereinie: obrazy Kirchbacha, Gabriela Maxa i Ottenfelda. — Reprodukcye galeryj wiedeńskich.

„Biblioteka polska,“ najpoważniejsze z polskich stowarzyszeń w Wiedniu, urządza co miesiąc odczyt, po którym następuje pogadanka towarzyska. Jest to jedyne miejsce w Wiedniu, gdzie kobiety wyższej inteligencyi polskiej mają sposobność do zapoznania się z bieżącą literaturą i do odświeżenia pamięci spraw narodu. Pełne uznanie należy się ich pilności, z jaką uczęszczają do „Biblioteki polskiej.“ Wdzięczne też miał audytoryum ostatni prelegent p. Mon., który wygłosił odczyt o stosunku Słowackiego do Mickiewicza i Krasińskiego. Na podstawie całego materyału, dziś ogłoszonego, przy pomocy własnej, bystrej kombinacyi psychologicznej, opisywał stosunek wielkich poetów, jaki być musiał między takiemi indywidualnościami. P. M. w odczycie swoim usiłował głównie dowieść, że błędy, zarzucane Słowackiemu, jako też wygórowane rozumienie o sobie, chorobliwa ambicya i wrażliwość na mniemane obrazy, są po części przesadzone, po części zaś, o ile istotnie w poecie istniały, były przezeń opanowywane w stosunku do Mickiewicza i Krasińskiego. Wykazawszy skłonność Słowackiego do uznawania znaczenia wielkich swych towarzyszów, zarzucał przeciwnie Mickiewiczowi, że obrażał Słowackiego i zawsze względem niego był niesprawiedliwy, zwłaszcza pomijając go w prelekcyach swych o literaturach słowiańskich. I w tem, według prelegenta, zachodzi podobieństwo pomiędzy Mickiewiczem a Goethem, że naród ubóstwiając go, ślepym jest na rysy mniej piękne, ludzkie, niezgodne może z naturą czysto idealną, a jednak prawdziwe. Bądź co bądź, nie często spotkaliśmy się z takiem zdaniem o Mickiewiczu i o Słowackim, a podajemy je jako cechujące prąd od kilku lat wśród młodzieży istniejący, prąd, który Słowackiego nietylko jako poetę, ale i jako człowieka pragnie na najwyższym postawić piedestale.

Obecnie, wśród pory koncertowej, artyści polscy obok innych gwiazd tutejszych i zagranicznych, zbierają wawrzyny, dobijając się znaczenia coraz większego. Idąc porządkiem chronologicznym, winniśmy naprzód wspomnieć o koncercie p. Marcelego Tyberga, galicyanina — skrzypka, który kształcił się w Wiedniu i Paryżu, następnie osiadł we Lwowie, a obecnie wraz z żoną, pianistką, p. Paltinger, bawi w Wiedniu. Tyberg, znany jako mistrz niezrównanego staccata, grał Raffa „Suitę“ G-moll, Vieuxtemps'a koncert E-dur, Bethovena romans E-dur i Sarasatego fantazyę na motywach „Fausta.“ Wielka czystość tonu, oraz rzetelna, jednolita gra, zjednała sobie uznanie publiczności, która szczelnie wypełniwszy salę Boesendorfera, zmusiła koncertanta oklaskami do dodania numerów nadprogramowych.

Wielkiego tryumfu doczekał się kompozytor i pianista J. J. Paderewski. Siedemnaste jego dzieło, pierwszy wielki koncert, jaki napisał (w A-moll), odegrane zostało na 5-ym koncercie filharmonistów w Wiedniu, pod dyrekcyą kapelmistrza opery nadwornej, dr. Richtera. Koncerty filharmonistów wiedeńskich stoją, jak wiadomo, wyżej, niż berlińskich, londyńskich i newyorskich. To też już samo dopuszczenie utworu młodego kompozytora do programu w świecie muzycznym uchodzi za powodzenie wielkie. Publiczność, złożona z arystokracyi, członków dworu, oraz z muzyków wszelkich narodowości i przedstawicieli prasy, przyjęła Paderewskiego ciepło. Kon-

---

Gala.

Prawda... To też porywa mnie jakiś gwałtowny a nieznany prąd... On nigdy dotąd nie unosił moich myśli... Tak, piękny, wspaniały to sen... Rozkopać groby żywcem pogrzebanych, wskrzesić ich i rozpowić z osłon dzikości, wypędzić z tego cmentarza hyeny, zamienić go na siedzibę życia, napełnić ją szczęściem — ach! — jakże to cudowny widok! Ale, nie, nie rzucaj pani na moje karle ramiona płaszcza majestatu olbrzymów, bo ja w nim ginę jak ukryty w jego fałdach robak.

Regina.

Powtarzam, bądź pan zuchwałym.

Gala.

Po co pani ciskasz we mnie te gorejące rojenia, jak rozżarzone węgle w snop bawełny, który od nich spłonie? Po co robisz ze mnie mocarza, bohatera, po co mnie nazywasz panem, mnie, który nie umiałby dostrzedz jasności w słońcu, gdybyś mu jej widzieć zabroniła. Jam nie żaden pan Gala, ale murzyn z plemienia galów, kupiec z Madagaskaru, trochę ostrugany z barbarzyńskiej kory, trochę nauczony myśleć, a nieoduczony czuć nadmiernie, gorąco, bezrozumnie. Mów pani jak do swego najposłuszniejszego niewolnika, bo ja niczem więcej nie jestem.

Regina.

Kłamiesz pan.

Gala.

Ach, nie! Dusza moja, jak płytka studnia, tylko odzwierciedla obraz pani, a ty sądzisz, że ona do twojej podobna. To złudzenie, które myli panią dlatego, że nie dojrzałaś we mnie odbicia żadnej innej istoty. Prosiłem panią, ażebyś mi rozkazywała — jeszcze raz błagam o to. Powiedz do mnie, jak do kamienia leżącego w procy: spadnij tam — spadnę, zabij — zabiję, bądź zabawką dzieci — będę. Ale nie wskazuj mi ogólnie kierunku i nie pozostawiaj swobody wyboru celów. Mam zebrać gromadę murzynów, uzbroić ich, zamordować Tipu-Tipa, wygnać europejczyków — wszystko to zrobię, dlatego, że taka pani wola, a nie mój zamiar.

Regina.

Co to wszystko znaczy? Czy pan rzeczywiście niezdolny jesteś do niczego, prócz posłuszeństwa, czy też sparaliżowała cię jakaś chorobliwa cześć dla mnie?

Gala.

Być może, gdyż poznawszy panią, uczułem dziwną niemoc, odrazę do swobody, do samodzielności, do pragnień własnych. Chodzę w omroku, w oczarowaniu, w tęsknocie do uniżonej służby. Ja wiem, że jestem tylko stopniem twojego tronu, mętem twojej czystości, obrzaskiem twojej słodyczy, cieniem twojego światła, że oczy powinny mi wypłynąć za karę, gdy je niegodny wzniosę ku tobie, ale...

Regina.

Dosyć. Gdzie jest Tipu-Tip?

Gala.

W Sudamie — zakupuje niewolników i ma ich popędzić do zatoki Adeńskiej, gdzie czeka na niego okręt.

Regina.

Zbierz pan wszystkich swoich wojowników, nakłoń sąsiednie plemiona, ażeby się przyłączyły do wyprawy, przegrodźcie mu drogę, kiedy będzie szedł z całą karawaną i stoczcie bitwę. Tipu-Tip powinien dostać się w pańskie ręce i być przyprowadzonym tu, jako niewolnik.

Gala.

Dobrze. Kiedy mam wyruszyć?

Regina.

Jak najprędzej. Nie zapomnij pan: chcę mieć niewolnikiem Tipu-Tipa.

Gala.

Niech dobroć zatrze w pamięci pani wspomnienie dnia dzisiejszego. Między rozkaz twój a chęć moją wykonania go nie wciśnie się żadna myśl inna. Poświęcę wszystkie siły na to przedsięwzięcie i nie zostawię z nich nawet odrobiny dla własnego ocalenia. Jeśli one mnie nie zawiodą, rzucę pani pod nogi niewolnika Tipu-Tipa, ale całe te roje murzyńskie, które on jak żołna pszczoły wydziobują. Bądź królową naszą, godniejszą korony niż Ranawalona Madagaskaru.

Regina.

Ja nie potrzebuję poddanych, ale szczęśliwych. Kiedy pan wyjedziesz?

Gala.

Dziś, zaraz, tylko moją drużynę zwołam. Naprzód postaram się ją powiększyć.

cert ten, napisany na fortepian z akompaniamentem orkiestry, jest nawskróś nowożytnym, a więc niepopularnym. Tylko w drugiej części (Romanze andante con moto) dosłuchać się można motywów melodyjnych, porywająco pięknych. W innych częściach myśli wielkie i oryginalne, rozbrzmiewają w harmoniach tak szerokich i potężnych, jakieśmy słyszeć przywykli tylko w operach wagnerowskich czystego stylu. Nader trudne zadanie pianisty objęła i wykonała po mistrzowsku p. Anetta Esipow-Leszetycka.

W parę dni po koncercie filharmonijnym, który odbywa się w wielkiej sali Konserwatoryum muzycznego, Paderewski dawał w sali Boesendorfera własny koncert. Pianista, którego Kalbech, najpoważniejszy po Hanslicku krytyk, nazywa „den gigantischen Tastenstürmer," sam jeden wypełnił cały program. Niesłychanej istotnie pamięci i rzadkiej wytrwałości fizycznej potrzeba było, by odegrać dwanaście utworów, bez przerwy prawie, a wszystkie w sposób olśniewający. Rozpoczął sonetą Beethovena (As-dur, op. 110), grał następnie rzeczy Brahmsa, Schuberta, Webera, Chopina i Liszta. Najbardziej podobało się w grze jego „Momento capriccioso" Webera oraz druga etiuda Chopina. Z własnych kompozycyj wykonał „Théme varie," rzecz pełną pięknych myśli, przeprowadzonych brawurowo. Krytyka wiedeńska uznaje zgodnie, że Paderewski, który jako pianista toczyć musi ciężką walkę z d'Albertem, koncertującym równocześnie w Wiedniu, jako kompozytor ma przyszłość wielką.

Kiedy już mowa o polakach, wsławiających się w Austryi, wspomnieć winniśmy o zajmującej a zagadkowej nieco wiadomości, jaką wyczytaliśmy w pismach dobrze zazwyczaj poinformowanych. W Pressburgu wystawiono po raz pierwszy sztukę jednoaktową p. t. „Ralph William." Autorem jej jest według afisza dr. Józef Julian; pod pseudonimem tym ukrywać się ma hr. Józef Zamojski. Rzecz tem ciekawsza, że niemiecki dramat polskiego hrabiego jest rzeczą cenną; sztukę tę przyjął już był poprzedni dyrektor wiedeńskiego Burgteatru, Wilbrandt, a obecny sekretarz tego teatru, baron Berger, przybył na przedstawienie. Hr. Zamojski opracował myśl „Galeotta," ale inaczej nieco, niżeli Echegaray, gdyż „Ralph William" nie kończy się perspektywą wiarołomstwa, lecz pojednaniem zwaśnionych postaci dramatu. Donoszą, że sztuka ta wielkie wywołuje wrażenie i odznacza się pięknym, jednolitym nastrojem.

Ruch artystyczny w Wiedniu obecnie, zanim się rozpoczął właściwy sezon balowy, największe budzi zajęcie. Niestety ani Burgteater, ani opera nadworna dotychczas nie zdobyły się na nowość prawdziwie cenną i oryginalną. Opera wiedeńska kołom, zajmującym się muzyką, wielką oddaje usługę, wystawiając cykle oper mistrzów pierwszorzędnych. Po Wagnerowskim nastąpił obecnie Mozartowski. Nowość, od dawna zapowiadana i oczekiwana, „Die drei Pintos," opera buffo C. M. Webera, nie dotrzymała tego, czego się po niej spodziewano. Ułożył ją z notatek pozostałych po wielkim kompozytorze A. Mahler, dyrektor opery peszteńskiej. Uzupełnił siedem numerów, naszkicowanych przez Webera, trzynastoma innymi, zebranymi, co prawda, z rozmaitych mniejszych, zapomnianych dziś kompozycyj mistrza. To też słusznie Hanslick o „Trzech Pintosach" wyraził się, iż jest to opera napisana nie przez Webera, ale z Webera.

Wystawy wiedeńskie zebrały obecnie w salach swych rzeczy, które nietylko oglądać, ale i badać warto. W Künstlerhausie odbyła się wielka międzynarodowa wystawa akwareli, na której zwracały uwagę studya włochów, zastosowujących technikę akwarelową do rozmiarów większych. Nie sądzimy, ażeby próby te były szczęśliwemi, mimo iż smaku kolorystycznego i poprawności rysunku włochom odmówić niepodobna. Najefektowniej występuje technika akwarelowa, bądź co bądź, na kartonach mniejszych, a owe portrety i studya wielkości naturalnej czynią wrażenie kolorowanych rysunków.

Wspaniałe płótna zestawił Kunstverein na wystawie swej wieczorowej. Najcenniejszym a zarazem największym rozmiarami jest tu obraz Franka Kirchbacha, przedstawiający Chrystusa wypędzającego kupców ze świątyni jerozolimskiej. Obraz ten, zajmujący całą ścianę, wspaniale ma tło: widzimy bowiem bramę i portyki świątyni herodiańskiej, których styl staro-wschodni, oryginalna ornamentyka i poważny koloryt w złocone ujmuje ramy ożywioną scenę,ześrodkowującą się w postaci Chrystusa. Malarz, trafnem wiedziony uczuciem, obrał chwilę, która nastąpiła tuż po samym akcie wygnania kupców i w której Chrystus już pełen spokoju okazuje się przed bramą świątyni w gronie apostołów. Jest to, po dziele Munkaczego, pierwsza w nowszych czasach postać Chrystusa, która, pojęta realistycznie, wyobraża przecież indywidualność potężną i wzbudza uszanowanie. To też widz pozostaje w zgodzie z zasadniczym nastrojem obrazu Kirchbacha, który głównie uwydatnić chce głębokość wrażenia, jakie Jezus czyni na zebranym ludzie. Kobiety pierwsze i najgłębiej uległy temu wrażeniu: zbliżywszy się do mistrza lub klęcząc z daleka, z podziwem nań patrzą. Jakób odpycha je, torując drogę. Po drugiej stronie Jan łagodnie przemawia do ludu, który jeszcze się nie uspokoił. Piotr zaś, najskorszy do czynu, na samym przodzie obrazu zatyka usta kupcowi, który pełen gniewu chciał złorzeczyć. Wyborną jest grupa starszych kupców i nauczycieli zakonu, którzy z pewną obawą i niechęcią zdają się rozprawiać o skutkach tego, co zaszło. Kolosalny obraz ten, malowany z największą starannością, świetnością barw, przypomina pędzel Matejki.

Wspomnieliśmy na pierwszem miejscu o obrazie Kirchbacha, gdyż ktokolwiek bez uprzedzenia przyglądał się wystawie w Kunstvereinie, stanowczo utworowi temu przyznać musiał palmę pierwszeństwa, którą zdobył też na wystawie londyńskiej. Mimo to za główną przynętę wystawy obecnej uważany jest obraz Gabriela Maxa, nazwany „Astartą." Nigdy, u artysty tej miary, nie spotkaliśmy się z taką dowolnością zarówno w traktowaniu obranego przedmiotu, jako też w nadaniu nazwy fantazyi pędzla mistrzowskiego. Na przejrzystem, jasnem tle niebios, widzimy postać kobiecą, w białej, fałdzistej szacie, którą przykrywa zasłona czarna, spadająca z głowy niewiasty, wstecz nachylonej, jakoby płynącej po powietrzu; postać ta wyobrażać ma boginię fenicyan Astartę, królowę niebios gwiaździstych. Jest to postać Madonny o oczy o niewymownej piękności, głębokie, pełne łagodności i dobroci, oblicze blade, uduchowione, prześliczne faliste włosy, przezierające z pod lekkiej czarnej osłony,

---

SCENA IV.

Ciż i Wanika.

Wanika (*wchodzi zmieszana*).

Proszę pani...

Regina.

Czego chcesz?

Wanika.

Robotnicy, którzy przyszli na obiad, opowiadają, że przysunął się do nich na pole nieznajomy czarny człowiek i wypytywał, ilu ich jest, gdzie sypiają, kto strzeże domu, czy pan Gala już wrócił... Domyślają się, że to jakiś szpieg, może Tipu-Tipa.

Gala.

To niepodobna, ażeby on był blizko, ażeby ukryli się tu jego łapacze. Chyba podkrada się inny handlarz niewolników.

Regina.

A gdzie ten człowiek?

Wanika.

Odszedł i zniknął w lesie.

Regina.

Trzeba robotników szczegółowiej wybadać.

Gala.

Będę wiedział. Naprzód pobiegnę na stacyę handlową, może i tam wywiadywacz zaglądał. Jeżeli okręt z naszym towarem jeszcze stoi, powiększę mu ładunek. Czy pani dla niego nie ma nic do polecenia?

Regina.

Napiszę list do Hamburga o kilka środków aptecznych.

Gala.

Za chwilę uwiadomię panią i pożegnam.

Regina.

Do widzenia.

Gala.

O gdyby Tipu-Tip rzeczywiście chciał się sam przekonać, czy ja tu jestem! (*Wychodzi*).

SCENA V.

Regina i Wanika.

Wanika.

Dziwne życzenie ma pan Gala! Ach, żeby on teraz nigdzie nie wyjechał! Kiedy jego niema, to zdaje mi się, że nasz dom jest okiem bez powieki. Prawda, proszę pani, jaki on odważny, dobry, piękny?

Regina (*przeglądając rozpakowane przedmioty i ich spis*).

Prawda.

Wanika.

Nigdy podobnego człowieka nie widziałam. Ile razy spojrzy, to jak gdyby sparzył i pocałował. Gdybym nie była prostą dziewczyną, przysuwałabym się do niego bliżej. Ale on gardzi takiemi śmieciuchami. Czy nie?

Regina (*machinalnie*).

Nie.

Wanika.

Ale co pani mówi! Bogaty, mądry, ma wojsko, wszyscy go się boją i lubią. Któż tu mocniejszy? Sam sułtan Witu nie śmiałby przed nim siedzieć na ośle.

Regina (j. w.).

Tak.

Wanika.

Czemu ja nie jestem mężczyzną! Zaraz bym przyczepiła się do jego drużyny. Zrobiłabym to nawet jako kobieta, gdyby pozwolił. Obmyłabym go na każdym spoczynku, przygotowała jedzenie, ugłaskała... Ach!

Regina.

Co tobie?

Wanika.

Nic, majak przemknął mi przez głowę. Niech pani weźmie bat i wybije mnie.

Regina.

Nie pleć.

Wanika.

Kochana pani, wychłoszcz plecy, piersi, całą siłą.

Regina.

Waniko, rozum postradałaś.

Wanika.

Za to mnie wybij. Matka moja z pewnością by to zrobiła. Szkoda, że jej tu niema. (*Wbiega zadyszany Dżak*).

(D. c. n.).

...ne i poważnie odziana, o wdzięku ...tym — wszystkich tych cech żadną ...rą połączyć nie możemy z wyobraże...em fenickiej bogini księżyca, której kult ...anowiły igrzyska nocne, tańce, muzyka ... wszelkie formy wyuzdanej zmysłowości.

Z idealną fantazyą Maxa kontrastuje silnie wielki obraz Rudolfa Ottenfelda, który jest wyrazem najskrajniejszego, najbrutalniejszego naturalizmu. Według zwyczajów ludu czarnogórskiego zdrajca narodu powinien być zabitym; broń jego winna być połamaną, dom nietknięty powinien się rozpaść, rodzina wygnaną być ma na zawsze, a głowa złożoną między jego nogami.

Taki to wyrok spełniony na czarnogórcu, przedstawił Ottenfeld w całej zgrozie. Na skalistem wzgórzu leży zabity żołnierz, z szyi jego wylewają się strumienie krwi; głowa odcięta, o szeroko rozwartych oczach, oparta o nogę jego, spogląda na młodą żonę zdrajcy, która z niemowlęciem u piersi stoi obok zabitego małżonka, oczy rozpaczliwie wznosząc ku niebiosom. Ottenfeld goniąc za efektem, który rozniósł nazwisko Rochegrossa, umiał obrać motyw krwawy, barbarzyński, ale nie umiał pogodzić z nim estetycznego uczucia widza, mocą wielkiej kompozycyi i wspaniałego kolorytu, jakiemi ujmuje obraz mistrza francuskiego.

Zajmującą będzie dla miłośników sztuki wiadomość, że fotograf Loewy wydaje pomnikowe dzieło, zawierające reprodukcye celniejszych obrazów z cesarskiej galeryi w Belwederze. Dotychczas okazało się przeszło 400, które najzupełniej pouczają nietylko co do stosunku, ale nawet co do głównych znamion kolorystycznych. Fotografie sporządzone są tak starannie, że rozpoznać można odnowienia obrazów. Układ dzieła tego, zastosowany jest do wielkiego katalogu Engertha, tak, iż ono ważne oddać może usługi nietylko uczniom szkół sztuk pięknych, ale i estetykom, niemającym sposobności do zwiedzenia zbiorów wiedeńskich. Równocześnie w nakładzie V. A. Hecka pojawiają się reprodukcye heliograwurowe obrazów umieszczonych po innych galeryach wiedeńskich, pod wspólnym tytułem „wiener Galerien.“ Wydawnictwo to zaleca się też dobrym tekstem. wypracowanym przez archeologów i estetyków wiedeńskich, d-ra Ilga i d-ra Frimmla.

Stwosz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZESILENIE WĘGLOWE.

W Charkowie odbył się niedawno zjazd właścicieli kopalni węgla w Rosyi południowej. Jedną z najważniejszych pobudek było niebezpieczne przesilenie w tej gałęzi przemysłu. Komisya obradująca przyszła do przekonania, iż objaw ten wywołały nietylko przyczyny ekonomiczne i przemysłowe, lecz i ogólne, działające od r. 1880 (od chwili otwarcia kolei Donieckiej). Stała nadprodukcya i spadek cen zmusiły do zamknięcia wielu kopalń, już to przez bankructwo właścicieli, już skutkiem braku zbytu. Naraz później wzmogło się zapotrzebowanie w takim stopniu, że pozostałe kopalnie nie mogły dostarczyć żądanej ilości materyału. Nie mało do tego się przyczyniły zaspy śnieżne i brak potrzebnej liczby wagonów towarowych. Dla usunięcia przesilenia zaproponowano następujące sposoby: 1) ulepszenie środków przewozowych: budowa dróg podjazdowych, kosztem właścicieli kopalń i nakładem przyległych dróg żelaznych, lub państwa. Radzono nadto wypuszczenie w tym celu obligacyj rządowych. Dalej, powiększenie taboru ruchomego na drodze Kursko-Charkowsko-Azowskiej; pogłębienie portów w Maryupolu, Rostowie, Taganrogu i Odesie, oraz doprowadzenie ich do porządku. Urządzenie przystani w Aleksandrowsku nad Dnieprem, bez pobierania żadnej opłaty. 2) Udzielanie właścicielom kopalń, nie zaś kupcom, kredytu pod zastaw ładunków węglowych, szczególnie na stacyach przeznaczenia i na składach, w tym celu otwarcie w Bachmucie oddziału Banku państwa i dopuszczenie górników do składu komitetów dyskontowych. 3) Zapewnienie rynkom zbytu, tj. uregulowanie stosunków wzajemnych między przemysłem naftowym i węglowym, gdyż niektóre koleje przy opalaniu lokomotyw przechodzą od węgla do nafty. W tym celu radzą również przedłużenie, a nawet podwyższenie cła od węgla angielskiego. 4) Uregulowanie wydobywania węgla przez włościan w drodze stowarzyszeń spółkowych. Zjazd ostatni obejmował szersze koło uczestników, nie ograniczając się tylko na wytwórcach. Między innymi p. Aleksiejenko, profesor uniwersytetu charkowskiego, zwrócił uwagę, iż od kryzysu węglowego cierpią nietylko wytwórcy i wielcy przemysłowcy, lecz i najbiedniejsza część mieszkańców miast, skutkiem nagłego podrożenia opału. Otóż w interesie tych drobnych spożywców p. A. radzi: 1) W razie drożyzny węgla zniżenie lub nawet całkowite zniesienie cła od węgla angielskiego. 2) Czasowe wstrzymanie rozporządzenia, zobowiązującego drogi żelazne do posiadania zapasów węgla na 3—4 miesięcy. 3) Udzielenie drogom żelaznym pozwolenia na sprzedaż węgla osobom prywatnym, w razie braku tego produktu.

Kto jednak właściwie wywołał przesilenie węglowe? Nie właściciele kopalń, nie drogi żelazne! Tak się bronią. Więc—*winni robotnicy*! Taki jest ostateczny wniosek rajców na zjeździe charkowskim. Przyszedł urodzaj w r. 1887; robotnicy jęli tłumnie opuszczać szachty węglowe i dążyć w pole, gdzie otrzymywali znacznie lepszą płacę za mniejsze wytężenie mięśni. Przemysłowcy starannie ukryli tę tajemnicę wobec nacisku ogółu spożywców; natomiast wystąpiły tu inne, zmyślone przyczyny: zamiecie śnieżne, powodzie itd. Rachowano, że następny rok poprawi sprawę; tymczasem nowy urodzaj, więc powtórnie kopalnie się wyludniły. Co za dziwne zjawiska! Nie bardzo daleko od kopalni donieckich w fabrykach i kopalniach brjańskich *sto tysięcy* robotników znajduje się bez chleba, dlatego iż produkcya się przerwała. Tymczasem niemal w sąsiedztwie olbrzymi przemysł chwieje się dla... braku robotnika! Będzie taki stan trwał dopóty, aż wielki przemysł przestanie opierać swój rozwój na nędzy klas pracujących, w oczekiwaniu takich chwil, jak nieurodzaje itp.

Z. P.

BADANIA NAUKOWE.

NAJNOWSZY POGLĄD na ustrój społeczeństwa polskiego w XIII w.

III.

Pewniejsze stosunkowo, poczerpnięte z naszego zabytku, wiadomości wyświetlają sytuacyę społeczną trzech pozostałych klas wolnej części narodu: rycerzów, duchowieństwa i kupców. Kara za występki, popełnione przeciw osobie rycerza, znacznie jest większa od tej, jakiej podlega morderca lub krzywdziciel włościanina. Jeżeli rycerz pada ofiarą zabójstwa, mianowicie „na drodze wiejskiej,“ płaci się 50 grzywien kary prywatnej (krewnym zmarłego), a 6 społecznej; jeżeli kmieć — 30 grzywien, tytułem wynagrodzenia krzywdy, a 6 do skarbca (prawdopodobnie książęcego). Niekiedy dwie te różne klasy, wobec kar, nakładanych za przestępstwa, do równego napozór schodzą poziomu. Obelgi np. czynne, komukolwiek „w karczmie“ zadane, pociągają za sobą najmniejszą z opłat, zwaną „trzysta“ *). Ta minimalna jednakże kara większą oznaczała wartość, gdy szło o rycerza, niż o włościanina: tam odpowiadała 8 skojcom, tu — trzem. Ekonomiczne wreszcie położenie żony (w stosunku do mienia mężowskiego) było o wiele dogodniejsze w rycerskim, aniżeli w kmiecym stanie.

Duchowieństwo szerokimi już, jak wiadomo, w połowie XIII w. cieszyło się prawami. Dość przypomnieć nieśmiertelnione troskliwie przez Kadłubka, uchwały synodu łęczyckiego (w r. 1180), oraz otrzymany od Władysława Odonicza i od innych książąt polskich, wielki z r. 1210 przywilej, aby mieć wyobrażenie o wczesnem a szybkiem wzbijaniu się u nas w górę tych odwiecznych ziemi pieszczochów. Pomnik nasz pod tym względem — równie, jak i pod innymi — ułamkowych tylko dostarcza wskazówek. Wygłoszony wszakże przez układacza kodeksu, dogmat zależności książąt polskich od papieża, dość jaskrawe rzuca światło na rozległe, skądinąd wiadome obszary władzy duchownej. Starodawny zresztą zabytek nielicznymi szczegółami wiedzę naszą w danym zbogaca regionie. Księża, wobec procedury sądowej, cieszą się tym samym, co wogóle właściciele ziemscy, przywilejem: jeżeli sprawa dochodzi do pojedynku, dają za siebie zastępcę. Pobicie jednak osoby duchownej „w karczmie“ obciąża winnego, na mocy ogólnej zasady, najmniejszą karą — „trzysta.“

Kupiec (koufman) traktowany jest w pomniku naszym, jako tuziemiec. Zabójstwo, którego ofiarą na „drodze publicznej“ lub „wiejskiej“ pada jednostka handlująca, podobnie jak pogrzebanie jej trupa—jest obostrzone karą, równającą przedstawiciela tej klasy z rycerzem.

Jednym z najbardziej interesujących jest artykuł o kmieciach napół-wolnych. Nasz autor, korzystając z prac— takich autorów, jak Röppel, Maciejowski, Hube, Bobrzyński, Smolka i Kętrzyński, rozwija własny pogląd (rozumie się hipotetyczny) na proces stopniowego zanikania stanu włościan wolnych. „Stosunek poddaństwa, powiada p. W., był oddawna znany, zarówno polakom, jak i całemu światu słowiańskiemu—pod postacią niewoli osobistej lub tak zwanego zakupu, ale nic w formie zależności, polegającej na przywiązaniu do gleby.“ Obok „niewolnych“ — istnieli „wolni.“ Epoka podziałów stanowczy w położeniu włościan wywołać miała przewrót. Wszystkie czynniki — polityczne, ekonomiczne i religijne—złożyły się, zdaniem autora, na to, by jednych i drugich sprowadzić do poziomu poddaństwa agrarnego. Granicą zaś procesu jest, według badacza (idącego tu zresztą w ślad za Hubem) środek XIV-go wieku. Główną rolę w danej sprawie przypisuje autor duchowieństwu. Ono to przed innemi, powodowane z jednej strony poczuciem własnego interesu, wobec potrzeby uprawiania swych pól przy pomocy najemników, narzucało na barki wolnego kmiecia jarzmo obowiązków rolnych; z drugiej—kierując się niby zasadą miłości chrześciańskiej, sprowadzało do tej kategoryi ludność niewolną, i takim sposobem niwelowało całą rzeszę włościańską. Dość, którą pomnik nasz odtwarza, jest przejściową: wolni i niewolni — podawnemu jeszcze

*) Niedokładnie określona wartość, odpowiadająca, jak objaśnia pomnik, „trzystu“ kawałkom soli, zwanym „krusch,“ na jakie „dawniej w Polsce“ dzielić miano bryły tego artykułu kopalnego. Równała się ona w danej epoce (w. XIII) jednemu „skojcowi,“ albo czterem kurom. Sędziowie jednak litościwi — przy odbiorze kary „trzystu“ — często poprzestawali na dwu kurach, a niekiedy i na je...

istnieją; ale typ „napół-wolnych“ — później zwanych „subditi,“ czy „glebae adscripti“—wyraźnie się już zarysowuje. Mają oni to wspólnego z wolnymi, że spełniają względem księcia pewne powinności (tu należy t. z. „powóz,“ czyli dostarczanie koni i podwód—w przejeździe od wsi do wsi). Klasa ta ma prawdopodobnie takież same obowiązki i względem swego bezpośredniego pana. Z niewolnymi łączy ją sfera niższych posług państwowych (tak zwany „ślad,“ czyli ściganie przestępcy). „Napół-wolni“ wykonywają nadto, ku wygodzie gospodarza, przepisane w pewnych warunkach czynności: 1) ogradzają dwór płotem; 2) koszą trzy dni siano, podczas sianosprzętu; 3) ich żony przez trzy dni w porze żniw na polu pracują.

Niewolni są „własnymi ludźmi pańskimi, obowiązanymi pracować w miarę rozkazów“ lub zawartej umowy. Ci ostatni tem się od pośredniej różnią kategoryi, że kodeks prawa zwyczajowego nazywa ich „własnymi“ (eigen“). Autor, pomimo teoretycznych zastrzeżeń, znowu, jak widzimy, wznosi budynek na gruncie jednego wyrazu... Trudno mu wszakże odmówić zręczności dyalektycznej. Dzięki temu przymiotowi, bardzo gładko dowiódł (na str. 90), że w połowie XIII-go wieku istniały „trzy typy niewolnych: 1) t. z. *właśni* ludzie („eigene leute“), 2) niewolnicy, i 3) służący na zasadzie ugody.“ Na str. 87 zauważył, jak dopiero co wspomniano, że słowo „eigen“ odnosi się i do pierwszych i do trzecich. Dlaczegóż tu staje w sprzeczności z samym sobą? Tam wyraz „eigen“ jedynie oddzielał trzeci typ „niewolnych“ od kategoryi „napół-wolnych;“ obecnie — i ta już znikła przegroda. Co się tyczy „niewolników,“ sam powiada, iż rozbierana księga wspomina wprawdzie o niewolnicach („dirne“), dawanych, jako wiano, małżonkom rycerzy; ale nigdzie o niewolnikach nie mówi... Analizy prawidłowej nie widzimy tu już wcale... „Trudno (?) przypuszczać (przekonywa autor na str. 89), żeby instytucya niewolnictwa była wcześniej zniesiona w stosunku do mężczyzn, niż w stosunku do kobiet, i dlatego dochodzimy do wniosku, że w epoce naszego zabytku istniało niewolnictwo.“ Wielka szkoda, że autor, co tak gruntownie swój przedmiot studyował, w danem miejscu nie zwrócił uwagi na to, że słowo „Schalk,“ oznaczające podobno „niewolnika,“ było wyrazem obelgi, za którą się powszechnie 6 grzywien płaciło, co chyba dowodzi, że pojęcie—do wzgardzonych należało już archaizmów. Przypuszczenie zaś, które młody historyk „trudnem“ nazywa, snuło się po głowie niejednemu z socyologów... Pozostaje ono w związku z kwestyą małżeństwa, prostytucyi i... emancypacyi niewieściej, a może być sprawdzane — zarówno w sferze ustaw, jak i żywych faktów.

Czy pogląd autora na proces stopniowego zanikania klasy „wolnych kmieci“ i stosunek rozbieranej księgi do tego zjawiska— jest błędny, nie wiem napewno — kwestya to otwierająca szerokie do przypuszczeń pole. W każdym razie system pańszczyźniany przedstawia się tu w kształtach już określonych, a dwa inne typy — dziwnie mglisty i wyobraźniowy raczej, niż realny mają pozór. Wnosić by więc stąd można, że pomnik nasz pod tym względem nic przejściowego nie przedstawia...

Każda ziemia (księstwo) dzieliła się, według pamiętnika, na kasztelanie (pojęte, jako okręgi sądowe), opola („gegenote“) i włości. Kasztelana („borggraf“) otaczała liczna drużyna urzędników (sędzia, komornik, dziesiętnik, i inni). Niezależnie od tego, zarówno opole (synonim gminy), jak wieś— miały swój samorząd, któryby nazwać można gospodarczo-sądowniczym.

Książę korzystał z różnych obowiązkowych posług swego ludu (np. „powóz“ — „ślad“), i otrzymywał podatek, dziesięciną zwany (dziesiąty snop zebranego zboża). Oprócz tego, skarb władcy zasilały pieniężne kary sądowe, a nadewszystko—majątki bezdziedziczne, t. j. pozostałe po zeszłych bez potomstwa płci męzkiej, posiadaczach. Zdrada pociągała za sobą najsroższą pomstę publiczną—w formie ukamienowania.

Na tem kończy się zarys prawa państwowego, o ile ono znalazło swój odblask w pomniku starodawnym i rozprawie p. Winawera. Innych sfer dotykać nie będziemy— zadaleko by nas to zaprowadziło. Poruszymy tylko jedną kwestyę społeczną, zostającą w blizkim związku z wygłoszonemi powyżej cytatami — kwestyę prawnego obu płci stosunku. „Za pogwałcenie czy porwanie panny lub kobiety zamężnej — wbrew jej woli — płacono 50 grzywien kary społecznej i nieokreśloną prywatną karę (tytułem wynagrodzenia krzywdy).“ Podobny występek, dokonany na osobie „żony lub sługi włościanina, idącej do lasu po jagody,“ opłacany był tylko sześciu grzywnami; jeżeli zaś gwałt popełniono w lesie, towarzyszyła mu najmniejsza z kar—„trzysta.“ Żony rycerzów używają pojętego szeroko, prawa własności: „zbierają pieniądze za len i inne rośliny, które osobiście do nich należą— mogą one za to kupować niewolnice, bydło, szaty i inne rzeczy.“ Wszystko, co nabędą lub zrobią same, stanowi ich osobistą własność. Z tego prawa, choć w mniejszym daleko zakresie, korzystały i żony włościańskie. Cały posag, wniesiony przez małżonkę rycerza, do niej wyłącznie należy. Córka nie posiada prawa do spadku ojcowskiego; ale po matce zmarłej cały odziedzicza majątek. Wdowa, w stanie rycerskim, póki powtórnie za mąż nie wyjdzie, zarządza mieniem zgasłego małżonka. Kmieca zaś wdowa otrzymuje tylko po śmierci męża „swe poduszki, pokrowce na ławy i rzecz (zagadkową), zwaną *denicze*,“ ale nie ma prawa ani do spadku, ani do zarządzania osieroconą chudobą, która w razie braku potomstwa męzkiego, na własność pana przechodzi. Wiano dla córek od jego dobrej woli wyłącznie zawisło. Autor nasz, zastanawiając się nad tem wszystkiem, dochodzi do wniosku, że pomnik— raczej równouprawnienie obu płci, niż przeciwne zdradza zjawisko. Trudno się na to zgodzić; wzmianka bowiem o niewolnicach zbyt jest wyraźną, a wydziedziczenie potomków żeńskich stanu rycerskiego — wynikowi powyższemu jawny kłam zadaje.

Zamknijmy sprawozdanie. Z całej pracy konkursowej widać, że autor odbył sumienne studya przygotowawcze, a literaturę swego przedmiotu gruntownie poznał. Dba on przedewszystkiem o dokładność i porządek w rozumowaniu; jeżeli zaś w wywodach swoich nie wszędzie jest konsekwentny, to jedynie dlatego, że nie zdołał się dotąd uwolnić od wpływu imponujących powag i zmusić do kroczenia po wytkniętym torze. Bądź co bądź, rozprawa p. Winawera należy do najcenniejszych prób, jakie u nas przedsięwzięto, w celu odcyfrowania zatartych rysów dawno ubiegłej przeszłości.

A. G. B.

PSYCHOLOGIA UWAGI

(RIBOTA).

Imię francuskiego psychologa Ribota należy u nas stosunkowo do bardziej znanych. Między innemi pracami, przełożono na język polski dwie niewielkie rozprawy: *Choroby woli* i *Choroby osobowości*, w których, na podstawie objawów patologicznych naszego „ducha,“ usiłuje on wykryć mechanizm niektórych czynności psychicznych. Wybiera zwykle zjawiska jaskrawsze, aby wskutek wygórowania pewnych składników tem łatwiej było poddać rozbiorowi istotę całości. Poniekąd w podobny sposób postępuje w najświeższej swojej pracy, *Psychologia uwagi* *), którą poświęcił zbadaniu odpowiedniego stanu duchowego. Naturalnie, daremnie poszukiwalibyśmy tutaj zwykłego postępowania metafizyków — prób scholastycznych określenia uwagi, wywodów co do znaczenia tej „władzy ducha“ itd. Natomiast wszystkie siły skierowano ku wyznaczeniu warunków fizyologicznych uwagi, zbadaniu jej powstawania, oraz stanów psychicznych, w które czasami przechodzi, jeżeli pewne czynniki otrzymują przewagę. Wprawdzie i tu istnieją niejakie trudności. Mianowicie, idzie o wskazanie, gdzie rozpatrywany objaw bierze początek, a gdzie się kończy, albowiem przy takiem badaniu należy objąć wszystkie nastroje od prostego rzucenia okiem na brzęczącą muchę aż do najgłębszego oddania się jakiejś myśli. Lecz właśnie ta sama okoliczność, zacierająca granice uwagi i wprowadzająca nas w zakres odmiennych stanów duchowych, pozwala z drugiej strony na oświetlenie przedmiotu z różnych punktów.

Po tych kilku wyjaśnieniach natury metodologicznej zwracamy się do treści nowego dzieła Ribota.

Odrazu wyróżniamy dwie postacie uwagi — samorodną i dowolną. Psychologia pokroju starodawnego zatrzymała się jedynie nad tą ostatnią, w niej tylko widząc formę prawowitą. Jest to niesłusznem. Jak wykazują badania nad duchowością zwierząt i dziecka, uwaga samorodna zawsze poprzedza dowolną, która występuje dopiero później jako wynik wpływów wychowania. Słowem, samorodna przedstawia postać zasadniczą i pierwotną, a zarazem prostszą i wdzięczniejszą dla rozbioru. Dlatego to zbadanie jej najwięcej rzuca światła na mechanizm uwagi wogóle. Zwłaszcza wiele daje w tej mierze poznanie stanów krańcowych, z jakimi mamy do czynienia w zachwycie lub opętaniu się pewną ideą. Jeżeli weźmiemy człowieka w sile wieku, zdrowego, dostatecznie rozwiniętego umysłowo i zaczniemy rozpatrywać skład jego życia duchowego, znajdziemy się wobec bezustannego przypływu i odpływu zdarzeń wewnętrznych — uczuć, popędów, idei, obrazów. Nie jest to łańcuch stanów następujących kolejno, lecz raczej zbiorowisko ruchome, powstające z różnorodnych składników, rozprzęgające się i znowu tworzące. Słowem, w warunkach normalnych umysłowość nasza składa się z połączenia wielu stanów. Wieloideowość (polyideizm) taka ulega mniejszemu lub większemu ograniczeniu podczas uważania. Kiedy zwracamy na coś uwagę, powściągamy bogactwo i różnorodność życia wewnętrznego — w kierunku jakiegoś pojedynczego składnika. Zwykle mamy do czynienia wtedy z jedną główną ideą, która, skupiając i opanowywując inne, zmusza skojarzenia do płynięcia w wązkiem i ograniczonem łożysku. W ten sposób z uwagą podąża łącznie zawsze jednoideowość względna, dochodząca do krańca podczas zachwytu lub opętania się jakąś myślą. Dość spojrzeć na kogoś, kiedy uważa, ażeby spostrzedz, iż cały organizm zwraca się naówczas ku odpowiedniemu przedmiotowi. Oczy, uszy, nawet ramiona przybierają położenie charakterystyczne.

Wszystkie te objawy są właściwymi zarówno samorodnemu jak i sztucznemu stanowi uwagi. Gdyby szło przeto o oznaczenie jej istoty, moglibyśmy powiedzieć, że uważanie polega na mniejszej lub większej umysłowej jednoideowości z odpowiedniem, samorodnem lub sztucznem, przystosowaniem organizmu.

Jeżeli teraz zwrócimy się do zasadniczej formy uwagi — samorodnej, znajdziemy, że zapanowanie w życiu wewnętrznem jakiejś idei lub skojarzenia kilku powstaje bezwiednie, skutkiem większego napięcia odpo-

*) *La Psychologie de l'attention.*

wiednich stanów w porównaniu z innymi. Samo to natężenie jest znowu wynikiem uczuciowo-popędowej natury człowieka. Zachód słońca może przykuć do siebie całą istotę malarza, wówczas gdy na wieśniaku nie uczyni najmniejszego wrażenia i jedynie nasunie mu myśl o rychłem udaniu się na spoczynek; podobnie jakiś kamyk, obojętny dla wielu, może na długo pochłonąć wszystkie myśli geologa. Bodźce, wywołujące uwagę samorodną, w zupełności odpowiadają skłonnościom człowieka. Stan ten służy za probierz do poznania osoby; wykazuje on głębokość, powierzchowność, upodobanie umysłu. Słowem, jest to dar natury, z którym człowiek się rodzi, zależny od właściwych mu popędów zarówno pod względem jakościowej swej treści, jak i ilościowego natężenia. Tymczasem w przeciwieństwie do samorodnej, uwaga dowolna jest wytworem sztuki, wychowania, tresunku. Przedmiot nie zależy tu od okoliczności, lecz celowo zostaje wybrany. Wzrasta wszakże ona, podobnie jak i tamta, na podścielisku uczuciowem, o czem wie każdy z doświadczenia. Przykład najlepiej nam to uzmysłowi. Nauka czytania sama w sobie nie przedstawia dla dziecka najmniejszego powabu; przeciwnie, jest to zajęcie bardzo nużące i odstręczające. Otóż pokazujemy mu obrazki, które jego umysł w najwyższym stopniu zaciekawiają. Na stawiane pytania wychowawca odpowiada, że ono samo się dowie o tem, gdy nauczy się czytać. Popędu ciekawości użyto tu dla wyrobienia uwagi odnośnie do danego przedmiotu. W innym wypadku podobną rolę może spełnić chęć sprawienia przyjemności rodzicom, wywyższenia się wobec współtowarzyszów itd. Zawsze więc bierzemy już istniejące pociągi naturalne, odwracamy je od bezpośredniego celu i używamy jako środki do innego. W każdym razie, dla wytworzenia uwagi dowolnej potrzeba uprzedniego istnienia pewnych, że tak powiemy, naturalnych przesłanek. Wiedzą o tem i hodowcy zwierząt. Jeden z nich płacił towarzystwu zoologicznemu dwa razy drożej, jeżeli pozwolono mu wybrać małpę po kilkodniowem oglądaniu jej. Kierował się on tą okolicznością, czy jakaś małpa była zdolną do dłuższego pobudzenia swej ciekawości. A zatem i rozmiary uwagi dowolnej zawisły od natury osobnika. W wyrabianiu tej zdolności opieranoby się na tych samych czynnikach, z których wypływa samorodna.

Stanowi uwagi towarzyszą zawsze pewne objawy fizyologiczne (i fizyczne). Są one bardzo liczne i, jak bliższe badania wykazują, nie przedstawiają czegoś drugorzędnego, lecz przeciwnie stanowią zasadnicze podścielisko dla uważania. Zwłaszcza jaskrawo występują na jaw w wypadku uwagi samorodnej. Przedewszystkiem mamy tu do czynienia z nadkrwistością miejscową niektórych części mózgu i w ciągu dalszym — z zaburzeniami czynności nerwów naczyniowych; oddychanie staje się powolniejszem; ruchy ciała ustają. Galton czynił w tej mierze ciekawe spostrzeżenia wśród słuchaczów na pewnym odczycie. Osób znajdowało się 50; póki wykład nie pociągnął publiki, można było na minutę naliczyć do 45 wyraźnych uderzeń. W miarę wszakże tego, jak wzrastało zaciekawienie, powyższa liczba spadała coraz niżej. Te współobjawy fizyczne, polegające na pierwiastkach ruchu, dowodzą, że i sama uwaga jest ze swoją istotą faktem natury ruchowej, tj. wypowiadającym się za pomocą mięśni. Maudsley dobitnie to zaznaczył, mówiąc, że „kto nie zdolny kierować swymi mięśniami, nie jest w możności uważać.“ Podścielisko ruchowe jest już mniej widoczne w stanie uwagi dowolnej, lecz i tu sam jej charakter — powściągu, świadczy o jej istocie. Możnaby powołać się jeszcze na inne dowody, np. że kto bieży, naprożnoby chciał skupić na czemś uwagę. Wreszcie obudzenie jej u kogoś potrzebuje określonego czasu, jak to wynika z doświadczeń Obersteinera, Wunda i wielu innych, różnego zresztą stosownie do stanu zdrowia itd. Jeżeli przez *s* oznaczymy jedną tysiączną sekundy, ujrzymy, że dla zwrócenia uwagi w pewnym kierunku u człowieka zdrowego trzeba 133*s*, podczas bólu głowy — 171*s*, w zmęczeniu — 183*s*. Podobnie i trwanie uwagi zależy od tego rodzaju czynników. Są dolegliwości, zupełnie ją niszczące, i stany, znacznie ją osłabiające. Zresztą, w gruncie rzeczy, jest ona objawem nienormalnym, który w żadnym razie nie może się długo przeciągnąć, gdyż staje w sprzeczności z podstawowymi warunkami życia organicznego. Umysłowość polega na zmianie, tymczasem uwaga dąży do ustalenia jakiegoś jednego stanu z wykluczeniem innych. Antagonizm ten wywołuje znużenie i uczucie nieprzyjemności i uwidocznia się czuciem wysiłku, którego przy tem doznajemy. Słowem, ten objaw psychiczny jest i może być tylko faktem wyjątkowym w życiu duchowem.

Pewne pokrewieństwo z uwagą samorodną przedstawia zdziwienie. Zresztą jest to nie tyle jakiś stan psychiczny, ile przerwa pomiędzy dwoma innymi, z powodu gwałtownego wtargnięcia pewnego wrażenia, ustająca w miarę przystosowania się organizmu do otrzymanej wiadomości. Za pośrednictwem zdziwienia, uwaga przechodzi w osłupienie, przestraszenie itd. Ta łączność dowodzi, iż pierwiastków badanego stanu psychicznego należy poszukiwać bardzo nisko, aż w dziedzinie popędu samozachowawczego. Lecz daleko więcej światła na uwagę rzucają jej postacie chorobliwe. Należy tu odróżnić trzy grupy. Naprzód, możemy mieć do czynienia z zapanowaniem w życiu wewnętrznem jakiegoś stanu lub zbiorowiska stanów w sposób bezustanny i bezwzględny. Nie jest to już chwilowy zatarg pomiędzy różnemi skojarzeniami, lecz zapanowanie jakiegoś pojedynczego z władzą wszechwładną, pozwalającą na snucie myśli tylko w jednym ściśle ograniczonym kierunku. Mamy tu bądź większe, bądź mniejsze zbliżenie się do bezwzględnej jednoideowości. Przejście to następuje nie w przerwach, lecz zwolna zapomocą ogniw pośrednich, jak to widzimy np. u hypokondryków, którzy poczynają od pobieżnego zwracania na coś uwagi i dochodzą wreszcie do zupełnego pogrążenia się w jakiejś myśli. Dobrego przykładu takiego opętania dostarczają różne liczbomanie, imionomanie itd. Pewna kobieta z jawnemi skłonnościami histerycznemi nie mogła wyjrzeć oknem, aby natychmiast wbrew woli nie wziąć się do obliczania kamieni brukowych jednej ulicy, potem wszystkich w mieście, wreszcie we wszystkich miastach kraju; jeżeli ujrzała worek ze zbożem, zaczynała rachować znowu ilość ziaren w mieście, prowincyi, kraju. Objawy organiczne, idące w parze z takiem niewolniczem zwracaniem uwagi, wskazują, że psychologia ma tu sprawę z nerwicą i nastroje psychiczne są tylko jednym ze skutków, wywoływanych przez tę samą przyczynę. Zresztą cała chorobliwość takiego stanu polega nie na zmianie charakteru idei, gdyż ten zostaje bez nadwerężenia, lecz tylko natężenia tej ostatniej. Kobietę, która bierze się do wykonywania długich a bezużytecznych rachunków, w żaden sposób nie wolno przyrównywać do żebraczki, która sądzi o sobie, że jest milionerką. W bliskiem pokrewieństwie z opętaniem się jakąś ideą stoi zachwyt (ekstaza). Ribot rozpatruje drobiazgowo jego naturę na przykładzie św. Teresy i z powodu tego stanu zadaje sobie pytanie: czy możliwem jest istnienie doskonałej i bezwzględnej jednoidejowości? Odpowiada na to twierdząco, powołując się na zeznania różnych mistyków, lecz równocześnie wykazuje krótkotrwałość czegoś podobnego. Na biegunie przeciwległym z rozpatrywanemi wygórowaniami uwagi stoją objawy, kiedy uwaga nie może się ani ukształtować, ani też dłużej zatrzymać. Potok myśli bieży tak szybko, iż przybiera cechy zupełnej automatyczności. Czucia, wrażenia, obrazy, idee, następują po sobie z taką prędkością, iż zaledwie dochodzą do świadomości i dla zewnętrznego spostrzegacza nie przedstawiają najmniejszego związku. Widzimy to u maniaków. W mniejszym bez porównania stopniu spotykamy to samo u ludzi pijanych, przychodzących do siebie po ciężkiej chorobie itd. W takich razach przedewszystkiem rozkładowi ulega uwaga dowolna. Wreszcie należy zaznaczyć jeszcze, obok powyższych patologicznych postaci uwagi, jej brak wynikający już nie ze stanu chorobliwego, lecz niedostatecznie rozwiniętego, jak np. wśród idyotów.

Słowem, jakąkolwiek rozpatrywać będziemy formę uwagi, zawsze opiera się ona na interesie, tj. na pierwiastkach uczuciowych, naturalnych lub sztucznych. Nie przedstawia ona żadnej szczególnej „władzy,“ lecz jest stanem umysłowym, przeważającym wskutek złożonych czynników, które wyzywają mniejsze lub większe przystosowanie się organizmu. Pierwiastki uczuciowe są natury ruchowej (lub powściągowej, co na jedno wychodzi), a więc i uwaga ze swej istoty spoczywa na takiem podścielisku. Zresztą jest ona zjawiskiem wyjątkowem, zwłaszcza w najwyższej swojej postaci — dowolnej. I zaiste, dość wykreślić z życia przeciągi czasu, kiedy umysł nasz znajduje się w zupełnej bierności, to znowu pod wpływem namiętnego uniesienia itd., ażeby przekonać się, jak nieznaczną część życia bierze dla siebie ten stan duchowy, przeciwny zasadniczym wymaganiom organizmu ludzkiego.

—k.—i.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. Erazm Krzyszkowski: *Czterdzieści i cztery*, przyczynek do studyów nad *Dziadami* A. Mickiewicza. Czerniowce 1888, str. 92.

Z pomiędzy plejady trzech największych poezyi naszej okresu romantycznego przedstawicieli, Mickiewicz najmniej potrzebował zarówno współcześnie, jak i dzisiaj komentatorów. W utworach jego, przez swą wyrazistość jasnych i zrozumiałych dla każdego, nie spotykamy owej mglistej obłoczkowatości lub napiętrzonego patosu, który tak często występuje u Słowackiego lub Krasińskiego. Przy całym swym genialnym polocie umiał on zawsze, nawet w chwilach, kiedy się wznosił do najwyższego szczytu natchnienia, zachować miarę artystyczną i równowagę myśli, a ten realny kierunek twórczości stanowi właśnie jedną z największych zalet poezyi jego i jedno ze znamion jego potęgi. Wyjątek w tym względzie stanowi apokaliptyczne widzenie ks. Piotra w III-ej części *Dziadów*, gdzie M. wygłasza przez jego usta przepowiednię o strasznym mężu, „co ma trzy czoła i trzy oblicza, z matki obcej, krew jego dawne bohatery — a imię jego czterdzieści i cztery.“ Rozliczni biografowie współcześni i późniejsi silili się na rozwiązanie powyższej zagadki i znaczenia proroctwa, w którem wieszcz kabalistyczną sukienką osłonił myśl nierozjaśnioną i zdaje się do rozjaśnienia niemożliwą. Zadanie powyższe podjął także w pracy swej p. Krzyszkowski, nie z lepszym od poprzedników swych wynikiem. Na wstępie swej pracy wychodząc z racyonalnego zupełnie założenia, że ustęp powyższy jest owocem proroczej ekstazy i podnieconego nastroju ducha, kreśli autor ogólne uwagi o istocie i źródle owego uniesienia. Uwagi te, oparte na zdobyczach pozytywnej psychologii, mieszczą wiele trafnych spostrzeżeń i wnio-

sków, dotyczących procesu myślenia, kojarzenia się wyobrażeń, układania się w mózgu grup i obrazów, które kolejno przychodzą do świadomości myślącego. Według p. Krz. w pewnych wyjątkowych organizacyach uświadamiają się obrazy podobne nagle i bezwiednie, a wówczas umysł, zdumiony tajemną pracą własnego mózgu, uważając ją za podszept jakiejś wyższej istoty, za natchnienie — przemawia ustami proroka. Z tego stanowiska roztrząsana istota wieszczby, przestaje być sprzeczną z prawami przyrody, okazuje się tylko rodzajem przewidywania pod wpływem podnieconych władz umysłowych. Tą drogą wytłomaczyć można powstanie owego proroctwa w trzeciej części *Dziadów* i zupełnie się też na wywód autora godzimy. Zdawać by się powinno, że powyższe wytłomaczenie powstania proroctwa ks. Piotra wyklucza samo przez się wszelkie dalsze dociekania znaczenia poszczególnych słów i wyrażeń. Naturalnem bowiem następstwem podobnej poetyckiej ekstazy, w której rozgorączkowana wyobraźnia przyobleka się zwyczajnie w szatę fantastycznych przenośni, jest bezświadomość ich źródła dla samego poety, który ochłonąwszy sam, sprawy z widzeń owych zdać sobie nie umie. Sprawdziło się to na samym Mickiewiczu, który w istocie nigdy nikomu żadnych wyjaśnień co do owego ustępu nie udzielił, prawdopodobnie dlatego, że i sam go nie rozumiał. Jedynym śladem usiłowań takiego rozjaśnienia ze strony Mickiewicza jest ostatni wykład jego w College de France. Ale i to tłomaczenie mgliste i niejasne dalekiem jest od jakichkolwiek pozytywnych wskazówek. Powiada on bowiem: „Człowiek ten z troistem obliczem i troistym tonem ukazał się już izraelitom, francuzom i słowianom; zaświadczyli oni przed niebem, że go widzieli i poznali. Odwołuję się do ich świadectwa. Człowiek ten sam tylko prowadzić może dalej dzieło realizacyi napoleońskiej.“ Słowa te, nawskróś mistycyzmem Towiańskiego przesiąknięte, bynajmniej nie rozwiązują zagadki.

Autora broszury nie zrażają jednak żadne trudności w tym względzie. Kolejno roztrząsa najpierw wszystkie możliwe a znane mu komentarze słów proroctwa, polegające już to na domysłach, już to na kombinacyi liter i cyfr. Ale ani tłomaczenie Witwickiego, mówiące o hufcu złożonym z 44 mężów, ani tłomaczenie zwolenników hotelu Lambert, upatrujących w mężu owym Czartoryskiego (44=sorok czatery), ani osoba Towiańskiego, ani wreszcie osoba samego Mickiewicza nie wytrzymują pozytywnej krytyki i nie znajdują dostatecznego poparcia w słowach wieszczby. Szuka więc autor nici zagadki w idei, która zajmowała Mickiewicza podczas tworzenia trzeciej części *Dziadów*, mianowicie w bezgranicznej jego wierze, w gwiaździe dynastyi Bonapartych. Gdy przeto w pismach Mickiewicza, jego korespondencyi i artykułach odnalazł pewne ślady stosunku poety z osobą księcia Ludwika Napoleona, wskazuje z zupełną pewnością i przekonaniem, że do niego to a nie do kogo innego odnosił Mickiewicz owe słowa. Pomijając okoliczność, że domysł ten wcale nie jest nowym, niepodobna nie zaznaczyć, że w samem tłomaczeniu szczegółowych wyrażeń mieści się wiele sprzeczności i że przedstawia się ono nie mniej naciągniętem, niż wszystkie wyżej przytaczane, zbite przezeń dowodzenia. Najgłówniejszym dowodem jest dla autora okoliczność, że liczba 44 cyframi rzymskiemi nakreślona, wykazuje początkowe litery imienia księcia Ludwika Napoleona, a tem samem stwierdza prawdziwość ostatnich słów przepowiedni. Twierdzenie to bardzo błahe. Trudno bowiem przypuścić, aby wieszcz w chwili uniesienia, przy poważnym i głębokim nastroju przepowiedni chciał się zabawić w układanie cyfrowanych zagadek dla narodu — a nawet przypuściwszy ten wypadek, niepodobna sobie wytłomaczyć, dla czego, jeśli ją tak istotnie pojmował, nigdy twierdzenia owego jasno nie wypowiedział. W tem właśnie leży wskazówka, że poeta sam nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia słów swoich. Wierzył w prawdę przepowiedni, ale nie silił się pozytywnie jej uzasadniać i nigdy nie twierdził, jakoby zrozumiałą mu była. Podobne formuły wróżby znalazł w Apokalipsie, u Danta, wreszcie u Dzierżawina i dlatego formy tej cyfrowej, łączącej w sobie pewien urok tajemniczości, licujący z podniosłym wieszczby nastrojem użył.

Pracą Danaid nazwać wobec tego trzeba wszelkie usiłowania, dążące do pozytywnego określenia kabalistycznej przepowiedni Mickiewicza. Po uważnem odczytaniu własnych twierdzeń i wywodów, łatwo mógł autor sam przyjść do tego przekonania. Wyprowadziwszy bowiem według swej metody dowód, obala go uwagą, że poeta sam przestał pod koniec życia wierzyć w ideę napoleońską i bohatera, któremu imię czterdzieści i cztery. Na miejsce tego wprowadza nowe przypuszczenie, wysnute ze słów Mickiewicza do poety Lenartowicza: „W lasach litewskich jest tam taki kąt, którego nigdy stopa ludzka nie deptała — na tej ziemi urodzi się zapowiedziany ów mąż.“ W labiryncie przypuszczeń i domysłów błądząc, ogranicza się p. Krz. ostatecznie do określenia przepowiedni w ogólności — co było zbytecznem, gdyż jest ona sama przez się aż nadto zrozumiałą i objaśnienia w tym kierunku nie potrzebuje. Bądź co bądź, praca jego zasługuje na uznanie, gromadzi bowiem wiele materyałów do tego przedmiotu.

W. P.

TEATR.

Oktawiusz Feuillet, *Chamillac*, komedya w 5 aktach.

W r. 1884 „towarzystwo“ paryskie gorąco zajmowało się niejakim Chamillacem. Była to osobistość nieco tajemnicza; człowiek bogaty, przed kilkunastu laty oficer strzelców konnych, otaczał się służbą, złożoną z samych złoczyńców, wypuszczonych z więzienia, tancerce, opuszczonej przez niewiernego kochanka, przyrzekł małżeństwo pod warunkiem cnotliwego prowadzenia się, tysiące franków rozdawał biednym. A przytem odznaczał się dowcipem w rozmowie, rozsądkiem głębokim, wytwornością w ruchach. Niejedna tedy kobieta wzdychała do tego wzoru doskonałości, a najbardziej Klotylda de la Bartherie, żona deputowanego. Lecz Chamillac komu innemu ofiarował serce. Jego wybraną była młoda wdowa, bratanica Klotyldy, pani de Tryas, córka generała de la Bartherie. Uwielbiał ją przecież w milczeniu i w tajemnicy, bo pani de Tryas za kilka miesięcy miała stanąć na ślubnym kobiercu z Robertem d'Illiers, oficerem sztabu generalnego. Tu i owdzie jednak na podstawie drobnych pozaszlak przebąkiwano o tej skłonności. Chamillac, w myśl *Sielanki młodości* Gaszyńskiego, „przyjaźnił się z jej bratem,“ znacznie młodszym od siebie, nawet bardzo młodym porucznikiem, Maurycym de la Bartherie. Pewnego wieczoru zasiada z nim w klubie do kart i na współkę z drugim jeszcze towarzyszem wygrywa od młodzieńca 70,000 franków. Porucznik zrozpaczony, gdyż wie, że surowy ojciec nie zapłaci długu karcianego, chce sobie życie odebrać, grozi mu bowiem wypędzenie z klubu i wojska. Prosi tedy Chamillaca o zwłokę, ten jednak nie chce o tem słyszeć; zwierza się siostrze, ta znów nie ma pieniędzy. Pozostaje samobójstwo, jako jedyny środek ratunku. Wtedy pani de Tryas odbiera naprzód od brata przyrzeczenie, że nie zabije się przed upływem 24 godzin, później zaś, bez długiego namysłu, zjawia się o północy w mieszkaniu Chamillaca. Gospodarz domu, kochając uroczego gościa, wzruszony takim dowodem zaufania, oszczędza pani de Tryas bolesnej prośby. Zaręcza, że dług on sam już zaspokoił, a grał z Maurycym w tym tylko celu, żeby młodzieńcowi pamiętnej na życie całe udzielić nauczki i w ten sposób odzwyczaić go od gry. Kiedy już obie strony doszły do porozumienia, wpada d'Illiers. Pani de la Bartherie bowiem, spowodowana zazdrością, wskazała mu miejsce pobytu jego narzeczonej. Ta ostatnia na zapytanie, dlaczego tutaj przyszła, w milczeniu odchodzi; między napastnikiem zaś, a gospodarzem następuje wyzwanie. Pojedynek kończy się ciężką raną tego ostatniego; pani de Tryas zaś po zerwaniu ze swym narzeczonym, który dowiedziawszy się wreszcie o istotnym celu jej nocnych odwiedzin, nadaremnie błagał o przebaczenie, pokochała zwycięzonego. Ku wielkiemu jednak przerażeniu dowiaduje się od swego ojca, że między nią a Chamillacem, znajduje się przepaść, na zawsze ich rozdzielająca. Ów ojciec, stary generał, był przed dwunastu laty pułkownikiem Chamillaca, ma wpływ nad nim, a chcąc wyleczyć córkę z miłości, zmusza go do hańbiącego wyznania. Oto, ten ostatni jako młody porucznik grywał w karty, a na pokrycie długów ukradł pułkownikowi 15,000 franków. Zwierzchnik odkrył ów postępek szkaradny i złodziejowi dał do wyboru albo zabójstwo albo więzienie. Chamillac prosił o łaskę, chciał zginąć w mającej nazajutrz nastąpić potyczce. Pozwolenie to otrzymał, bił się walecznie, odniósł kilkanaście ran, lecz pożądanej śmierci nie znalazł. Po roku wyzdrowiawszy, chciał rozpocząć nanowo. Przez ten czas atoli spadł na niego po stryju milionowy majątek, pułkownik pozwolił mu żyć pod warunkiem, że pieniędzy owych użyje na cele dobroczynne. I tu właśnie leży tajemnica jego miłosierdzia. Pani de Tryas w nagrodę za szczerość i poprawę oddaje mu rękę; przepaść została zasypaną, bo i owa tancerka, nie chcąc stać na zawadzie kochającej się parze, poprzednio oddała rękę malarzowi Hugonnet, również popieranemu przez Chamillaca.

Naumyślnie przytoczyliśmy tak dokładnie ową treść sztuki, trącącej melodramatem. Chcieliśmy bowiem dokładnie uwydatnić, na jak marnych podstawach zbudowanem jest całe rusztowanie, jak brak tam istotnego życia, prawdziwych, a podnioślejszych namiętności, jak płytkimi są poglądy autora na świat i ludzi, jak mało pomysłowości, a jak dużo przypadku. Wszystko bowiem zawisło od szczęścia. Chamillac ukradł pieniądze, lecz *szczęściem* pułkownik odkrył tę kradzież, a potem znowu *szczęściem* zezwolił, by złodziej zginął śmiercią walecznych. Lecz po raz trzeci *szczęściem* przestępca nie zginął, a nawet odziedziczył majątek, bo u Feuilleta i całej gromady jego kolegów po piórze, bezdzietnych i bogatych wujów lub stryjów zawsze po zniżonej cenie możesz kupić. Chamillac wziąwszy pieniądze, *szczęściem* bez żadnych pokus został ideałem i wzorem cnót, (patrz: Maxym Odiot w *Le roman d'un jeun homme pauvre*, nawrócony Montjoie i wszyscy inni bohaterowie dramatów Feuilleta) *szczęściem* trafia na ludzi, bardzo dobrych, bo istotnie wdzięcznych mu za świadczone dobrodziejstwa, a to rzecz nader rzadka i niezwykła, bije się z panem d'Illiers, zostaje ciężko rannym, lecz znowu *szczęściem* powraca do zdrowia, by skorzystać jeszcze raz ze szczęścia i wzruszyć swą szczerością panią de Tryas, podczas gdy znowu *szczęściem* dla niego Hugonnet kocha tancerkę, a ta woli zostać żoną malarza, aniżeli milionową panią. Słowem, Chamillac w czepku się rodził.

I w jakimże to celu — spytacie — autor ustawicznie rozrywa łańcuch przyczyn i skutków, fałszuje prawdę życiową i wszel-

ki kamień usuwa z przed stóp Chamillaca? Oto, by widza, który przychodzi w Paryżu do teatru tuż po smacznym obiedzie, nie zasmucić, nie zmartwić, nie zmuszać do myślenia. Myśl bowiem poważna i trawienie— to dwie sprzeczności, niedające się ze sobą pogodzić. Wszystko musi kończyć się dobrze w tym tylko celu, by opasły *bourgeois* wychodząc z teatru *avec sa femme ou avec sa gouvernante*, mógł powiedzieć: „Jaki ten świat dobry, jakie to życie piękne!“ A więc pierwszem prawidłem dla autora z dzisiejszej szkoły dramatycznej: nie dotykać namiętności istotnych, smutków i łez prawdziwych, ludzi i krwią i duchem obdarzonych, jeno przedstawiać lalki, podług jednego szablonu przykrojone, w więzach salonowego konwenansu zidyociałe, w grze lub cudzołóstwie widzące cel życia. Po za tem istnieje próżnia, wszystko inne jest dla sceny nieodpowiedniem. A zaprzysięgli krytycy skarżącym się na ubóstwo treści namaszczenia pełnym głosem odpowiadają: „Ale za to jaka to tam pyszna robota sceniczna, jaka prawda w szczegółach!“ Rzeczywiście wielka prawda, bo np. Feuillet każe Chamillacowi w r. 1872 bić się z arabami w Algierze. Rok 1872 i powstanie arabskie—to nieco mija się z prawdą. Przepyszna robota sceniczna, kiedy ni stąd, ni zowąd pani de la Bartherie, będąca na balu, mogła dowiedzieć się, że oddalona przynajmniej o pół godziny drogi od niej Janina de Tryas udała się właśnie do Chamillaca. Chyba cud stał się za sprawą jej patronki! Od takiego mistrza każą zaprzysięgli zwolennicy francuskiego teatru uczyć się tajemnic dramatycznego kunsztu naszym, swojskim autorom; takie to nędzoty od lat kilkudziesięciu pojawiają się na scenach europejskich, podczas gdy sztuki, przez niefrancuzów pisane, spoczywają w kurzu i zapomnieniu, bo zadużo w nich myśli, a zamało życia, ruchu, akcyi.

Inni znowu krytycy, sprawiedliwsi, powtarzają na obronę francuskich autorów dramatycznych: „Feuillet już zestarzał się, to siedmdziesięcioletni niedołęga!“ Na dwanaście lat przed nimi powiedział to samo Paweł Lindau w swych *Dramaturgische Blätter* (1877), oceniając *Julię* i *Akrobatę*, nie wiem tedy, czy to nie jemu właściwie trzeba przypisać zasługę tego trafnego po części spostrzeżenia. Trafnem ono tylko po części dlatego, że nie jeden Feuillet zestarzał się, lecz więdnie i usycha cała szkoła, wyhodowana na poromantycznym gruncie za czasów drugiego cesarstwa, szkoła, której hasłem była zmysłowość, nieco przysłonięta szablonowym idealizmem, pusty konwenans i sztuczki, drobne, nikłe, marne, a nie sztuka prawdziwa, pełna poezyi, ognia, a nie myśli podniosłe, sokami społecznego życia zasilane. Nic więc dziwnego, że Zola z taką zaciętością walczy przeciw tym pozytywkom, ciągle tę samą aryjkę fałszywo wygrywającym.

Jest przecież w *Chamillacu* jedna scena, której wzniosły i poważny cel, góruje ponad całą sztuką. Zyskała ona szczery poklask uczciwego dziennikarstwa francuskiego.

Generał de la Bartherie, dowiedziawszy się od córki o postępku syna, robi mu gorzkie wyrzuty, że tak próżniaczo, a nawet szkodliwie przepędza czas. „Oficer francuski — woła on — powinien dzień i noc pracować, godzinę każdą na pożyteczne obrócić zajęcie; nie bawią się bowiem ludzie, noszący żałobę. A przecież dzisiaj każdy oficer francuski ma krepę na swej szpadzie.“ Lecz niestety jedyna to jaśniejsza i szczęśliwsza chwila w długiej, pięcioaktowej komedyi.

Artyści nasi na pierwszem przedstawieniu nieco „zasypywali się;“ gra ich miała sporo zakroju melodramatycznego, wina to nie ich, lecz autora zresztą. Nieprzyjemnie raziły nas za kosztowne, jak na warunki naszej sceny, stroje pań; panna Wisnowska (pani de Tryas) widocznie musiała zakupić jakiś cały magazyn „konfekcyj“ damskich, w tylu różnolitych bowiem występowała sukniach.

Adam Nowicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Boulanger i Strzeleccy. — Pyszny prezes sądu. — Zażalenie szlachcica. — Tak zwana nienawiść. — Nadmierna surowość. — Czem lud jest w istocie i czem jest dla szlachty. — Zastrzeżenie. — Bal doktorski i dorożkarski. — Znowu ks. Ambrożewicz w sądzie. — Przyczynek do biografii tego męża. — Pytanie do *Przeglądu katolickiego*.

Cały tydzień ubiegły upłynął nam wcale nieźle — żyliśmy Paryżem i Kukizowem. Do tych dwu przysmaków adwokaci swojem zebraniem uczestników kasy, Towarzystwo ogrodnicze swojem zgromadzeniem członków, wioślarze swoimi balami usiłowali dodać nam kilka przekąsek, ale ustrzegliśmy się przesytu, gdyż najzupełniej wystarczali nam Strzeleccy i Boulanger. Sprawa ostatniego załatwiona wbrew naszym życzeniom i przewidywaniom, pomimo to należy się od nas serdeczna wdzięczność ex-generałowi za szereg głębokich wzruszeń. Śledziliśmy z bijącem sercem walkę wyborczą, zalecaliśmy francuzom Jacques'a, a już z jakiem drżeniem czytaliśmy w poniedziałek rano nadzwyczajny dodatek *Kuryera codziennego* — opisać nie zdołam. Co postanowimy dalej o losach Francyi shańbionej i zagrożonej tym wyborem — mniejsza, dość, że użyliśmy „sensacyj.“ Do pewnego stopnia sprawił nam również zawód proces kukizowski. Prezes sądu bowiem, p. Simonowicz, który przynajmniej dla mnie był najcenniejszą postacią w tym dramacie, stracił werwę. Już nie kłóci się z prokuratorem, nie broni widocznie podsądnych, nie dokonywa „poddawania myślowego“ świadkom, nie wydziwia tych, którzy zeznają na niekorzyść Strzeleckich, nie powołuje się na swą odpowiedzialność przed niebem, czasem tylko jeszcze odbiera przysięgę od blizkich krewnych i przyjaciół pary oskarżonej, ale to już nie wywołuje tak komicznego efektu, jak poprzednie półsłówka i wystąpienia. Czy radca Simonowicz dostrzegł, że może stać się bohaterem farsy i być kiedyś odegranym przez Żółkowskiego lub Ostrowskiego — nie wiem, widzę tylko, że spoważniał, że przestał być sędzią galicyjskim, którego szale sumienia przechylają się na tę stronę, gdzie stoi minister, biskup lub bodaj członek Rady państwa.

Z tych uwag szanowny mój korespondent z pod S., któremu zawdzięczam obszerny list z napomnieniami, gotów wywnioskować, że znowu godzę w nieszczęśliwą szlachtę. Oskarża on o to mnie, innych współpracowników i całą *Prawdę*. Dowodzi zaś bezzasadności naszych mniemań i sympatyj dla chłopa faktami następującymi: Posiadając 25 włók ziemi — powiada — wnoszę składki rocznej na szpital, z którego sam nie korzystam, około 50 rs. Skaleczył się u mnie w sieczkarni z własnej winy parobek. Odesłałem go do szpitala i zebranie gminne kazało mi zapłacić 32 rs., bo on, posiadając pana, nie należy do biednych, mających prawo korzystać z kuracyi bezpłatnej. Jednocześnie 20 synów gospodarskich wjeżdża w konieczną dworską: niszczą i wypasują ogromny łan; złapać ich nie można, zaskarżyć — również, z powodu braku świadków. Latem roku zeszłego arcybiskup zwiedzał okoliczne parafie. Szlachcic prosi go o przeniesienie odpustu św. Anny, przypadającego w czas żniw (lipiec), na niedzielę, gdyż to oszczędzi jeden ważny dzień roboczy. Arcybiskup się zgadza, ale jeden z księży (rozumiemy go!) zwraca mu uwagę, że trzeba zapytać o zdanie kmiotków. Naturalnie kmiotkowie, zwołani do probostwa, nietylko nie zgadzają się, ale proszą, ażeby im dodano kilka jeszcze odpustów parafialnych, gdyż i wtedy z robotą swoją wydążą. Z gruntu mylnem jest przekonanie — twierdzi autor korespondencyi — że szlachcic winien dźwigać większe ciężary, niż chłop, jako bogatszy; zsumowawszy bowiem wszystkie daniny i długi pierwszego, obliczyć łatwo, że właściciel 20 włók jest biedniejszym, niż właściciel 20 morgów, uprzywilejowany i bezkarny w swej grabieży, nienasycony w swej chciwości.

Dotąd skarga.

Teraz nasza obrona. A naprzód porozumiejmy się co do mniemanej nienawiści. Przypuśćmy, że mój przeciwnik, p. Ł., przeczytał w dzienniku dwa doniesienia: jedno — że jego blizki kuzyn dopuścił się oszustwa, a drugie — że takież samo przestępstwo spełnił człowiek mu obcy. Która wiadomość mocniej go zaboli? Pierwsza — i gdyby się spotkał z obydwoma winowajcami, z pewnością całe oburzenie wylałby na krewniaka. Czyli: surowość bywa często nie wynikiem nienawiści, lecz przywiązania. Weźmy dalej inny przykład: obaj oszuści byli kuzynami, ale jeden z nich miał lat 30 i był ukształconym, drugi zaś — dzieciak, zaledwie rozpoczynający naukę. Dla którego p. Ł. będzie surowszym? Dla pierwszego. Czy z nienawiści? Jeżeli przykłady te zamienimy na stosunki wiejskie, wypadnie nam prosty wniosek, że szlachta nasza, która po przeszłości odziedziczyła ważną rolę, która klasom ukształconym jest cywilizacyjnie bliższą, umysłowo i moralnie dojrzalszą, powinna spełniać większe obowiązki i podlegać surowszym sądom opinii publicznej, niż chłopi, niedawno wyzwoleni, ciemni, ogłupiani, źle i niedbale chowane dzieci społeczeństwa. Dzieci te bywają niekiedy łakome na cudze dobro, bezrozumne, uparte, dzikie, niemoralne, ale czy względna lista grzechów szlacheckich jest mniejszą? Czy mało ważą tęsknoty do dawnego poddaństwa i bata, traktowanie ludu jak gromady bydła, wyzyskiwanie go, a nawet samo zaniedbywanie? „Obywatel“ żąda tylko ubezpieczenia swoich interesów, muru, któryby go odgrodził od chłopa w polu i lesie, miecza, któryby rozciął niewygodną spółkę? Przypuśćmy, że taki mur stanął, taki miecz spadł — cóż dalej? Dwór zamknie się w sobie i chata w sobie — kto nad nią przyjmie opiekę? My—odpowie p. Ł.— wtedy staniemy się przyjaciołmi ludu, bo on nie będzie naszym wrogiem. Ale gdzie jest materyał w uczuciach i myślach obecnej szlachty? Przyjedź pan — zaprasza mnie łaskawie korespondent — a zobaczysz naocznie swój błąd. Żałuję mocno, że brak czasu nie pozwala mi skorzystać z tej uprzejmości i wzbogacić mojej wiedzy lekcyą poglądową; o ile wszakże dotąd miałem sposobność takie studya odbywać w różnych okolicach kraju, niezmiernie rzadko zdobywałem rezultat pomyślny. Szlachta tak dalece podupadła się sama i podupadano ją materyalnie, że całą uwagę zatopiła w trosce o interesy własne, które nieraz ratuje z gorszącą obrazą praw obywatelskich i moralnych. Lud spędziła w kryminał z rozwalonemi ścianami i otworzonemi drzwiami, widzi w nim złodziejów, szkodników, dzicz ciemną i łupieżczą. Do wyjątków w niej należą ci, którzy umieją się wynieść ponad widoki egoistyczne i zatargi chwilowe, którzy patrzą dalej i szerzej. Rozumieją oni dobrze, że nietylko szlachta powołana jest do zdwojenia swych obowiązków i zadań, że w tem samem położeniu znalazły się dziś wszystkie klasy społeczne.

Jeszcze słówko w tej sprawie na własny mój rachunek. Niedługo ktoś w *Prawdzie* zajmie się szczegółowo prawdopodobnem znaczeniem chłopstwa w naszym przyszłym rozwoju; co do mnie, nie wierzę, ażeby znaczenie to przy podobnych warunkach eko-

nomicznych i społecznych było wielkie. Chłop polski wystąpił do życia samodzielnego za późno, jest i długo jeszcze pozostanie za słaby umysłowo i materyalnie, ażeby odegrał wielką rolę wtedy, kiedy siłą niezwyciężoną i regulującą stosunki ekonomiczne stał się wielki kapitał. Z wyroku konieczności, niedbalej wcale o nasze życzenia i deklamacye, musi ten żywioł przekształcić się całkiem, jeżeli ma wytrzymać walkę o byt. Tylko dla ludzi żywiących się i żywionych frazesami dzisiejsze hasła mają wartość zbawczą.

Ach, panie W. Ł., jakże niewłaściwą rozmowę prowadzimy w karnawale.

Szczęściem, że długi. Ale — niestety — kulawy. Pewna część prasy naszej, najbardziej zainteresowana w ożywieniu zapust, chwyciła się aż „suggestion mentalo.“ Mianowicie wmawia w doktorów i dorożkarzów, że oni mają wyprawiać sobie bale. Powiadam: wmawia, gdyż pytałem jednych i drugich, nic o podobnym projekcie nie słyszeli; lecz gdy im go podsunięto — zastanowią się. Może — wszakże i oni krew z krwi i kość z kości naszej, a my wszyscy zawsze gotowiśmy tańczyć do „białego.“ Tu zauważyć należy, iż od pewnego czasu najlepiej udają się bale — że tak rzekę — rodzajowe. Bezimienne i mieszane chybiają, ale wioślarskie, inżenierskie, malarskie itp. złamały już niejedno żebro przy kasie rozprzedaży biletów. Żywię ufną nadzieję, że tak samo odznaczy się doktorski i dorożkarski. A w takim razie dobry przykład oddziała z pewnością na: blacharzów, szewców, kominiarzów, grabarzów, mamki itd. Słowem, niech bieda smaga po grzbiecie, niech wszyscy dyabli dolewają octu do naszego humoru, my zawsze sobie pohasamy.

Między innymi spodziewamy się także balu pszczelarskiego. Z dziejów bowiem Muzeum na Koszykach, z procesów i figlów ks. Ambrożewicza można będzie ułożyć bardzo piękne figury mazurowe. „Zacny“ ten kapłan (bo i on niezawodnie ma prawo do tego tytułu), znowu dogadzając swej chciwości, pozwał p. Lewickiego przed sąd, który dał pieniaczowi dobrą naukę, odrzuciwszy jego żądanie i skazawszy go na koszta. Wielka szkoda, że dotąd nikt nie zebrał całkowitego a bardzo ciekawego materyału i nie nakreślił obrazu zacnych czynów ks. Ambrożewicza. Uczeń p. Lewickiego, sprowadzony przez niego do zarządu Muzeum, wypłaca się swemu nauczycielowi i opiekunowi w ten sposób, że intrygami podkopuje założoną przez niego instytucyę, wytwarza mu swojem przedsięwzięciem rujnujące współzawodnictwo, włóczy biednego i oniemniałego starca po sądach, wywłaszcza, gnębi wyrokami, słowem naśladuje znanych „dobroczyńców ludzkości.“ Dzięki tym „cnotom chrześciańskim,“ ks. Ambrożewicz ma już zyskowny geszeft, a założyciel Muzeum i szkoły pszczelarskiej przymiera głodem. Cokolwiek byśmy o naszych księżach ujemnego powiedzieć mogli, taki okaz jest śród nich wyjątkiem. Przynajmniej od ćwierć wieku o podobnym jegomości w Warszawie nie słyszałem. To też dziwi mnie bardzo, że zwierzchność duchowna, która zwykła i umie zapobiegać gorszącym występom swych podwładnych, nie użyła tu swego wpływu. Dla nas p. Ambrożewicz jest panem Ambrożewiczem, ale dla niej jest księdzem — a to szlachectwo moralne podobno obowiązuje. A nawet *Przegląd katolicki*, który tak gorliwie zajmuje się „pozytywistami,“ powinienby poświęcić nieco uwagi temu zacnemu kapłanowi. Byłoby niezmiernie ciekawem dla nas usłyszeć, jak go sądzi organ, podnoszący tak wysoko godność stanu duchownego. Czy te obrzydłe zatargi, egzekucye, ciąganie po sądach, nękanie biedaka, czy to wszystko jest — według niego — zgodnem z przysięgą na ubóstwo, z nauką o królestwie nie z tego świata, z miłością bliźniego, z odpuszczaniem win — itd.? Mam nadzieję, że ta moja interpelacya nie przebrzmi bez odpowiedzi. Naturalnie do innych pobożnych dzienników z nią się nie zwracam, bo one wtedy dopiero mają własne zdanie, gdy ono im spadnie z kazalnicy *Przeglądu katolickiego*.

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Warszawski Dniewnik pisze:

„Układy nasze z Watykanem za pośrednictwem p. Izwolskiego, wedle wiadomości pism petersburskich, mają się już ku końcowi, a nawet zaczynają wydawać owoce.

Rektor akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu, ks. Simon, jak słychać, zostanie mianowany biskupem wileńskim, ks. Nowodworski, redaktor tygodnika duchownego *Przegląd katolicki* — biskupem płockim, i nakoniec, ks. Jaczewski, administrator dyecezyi lubelskiej— będzie podniesiony do godności biskupa tejże dyecyzyi. Inne kandydatury jeszcze nie zostały zadecydowane. Ze swej strony *Czas* krakowski podaje wiadomość z Rzymu, że tak zwany „proces kanoniczny“ (to jest śledztwo co do przeszłości i osobistych przymiotów) owych trzech biskupów już został ukończony, i że prekonizacya ich nie napotka żadnych przeszkód.

Prasa zagraniczna polska, z wyłączeniem prawie jednego tylko *Czasu* krakowskiego, który, z powodu swego kierunku i roli, nie ośmiela się krytykować działań Kuryi, przez cały czas toczenia się tych układów, była nader niezadowolona ze zbytnich ustępstw papieża, a wiele z jej organów z goryczą napadało za to na Kuryę. Takie postępowanie prasy polskiej *Czas* nazywa „nierozumnem i niepatryotycznem,“ a przed tygodniem w nocie specyalnej „z najpoważniejszego źródła rzymskiego“ nawoływał społeczeństwo polskie, szczególnie w „Kongresówce,“ tj. w naszym kraju Przywiślańskim, aby nie wierzyło zatrważającym pogłoskom i aby spokojnie polegało „na mądrości i pieczołowitości ojcowskiej papieża.“ Żadne atoli przekonywania nie podziałały na oponentów *Czasu*. Nie przestają bowiem i dotąd poglądać na Watykan z podejrzliwością i niedowierzaniem, co zupełnie nie świadczy, wedle słów *Czasu*, o ich „uczuciach katolickich.“

Główną przyczyną obaw i oburzenia na Kuryę większości prasy polskiej, były pogłoski, iż p. Izwolski układa się z Watykanem w kwestyi „języka liturgicznego“ tj. ściślej mówiąc, o wprowadzenie języka ruskiego do tych części nabożeństwa katolickiego, gdzie obecnie używa się język polski i do tego nietylko na Białorusi i w Małorosii, lecz w całem Cesarstwie, a więc i w kraju Przywiślańskim. Leon XIII podobno gotów na to przystać, spodziewając się przez to ustępstwo zasłużyć na życzliwość Rosyi, która ze swej strony, spólnie z Francyą, będzie dopomagała do przywrócenia świeckiej władzy papieża. Według wyrażenia jednej z owych gazet, „niemożebne i szkodliwe“ przywrócenie władzy świeckiej papieża, w jej formie dawnej, stało się „gwiazdą polarną dyplomacyi watykańskiej, w układach z p. Izwolskim,“ jakkolwiek ta zapiera się tego.

Gdy owe odgłosy polskie pochwyciły gazety włoskie liberalne, szczególniej *La Tribuna* i *L'Italie* i użyły ich za oręż w walce z Watykanem, organy watykańskie *L'Osservatore Romano*, *Le Moniteur de Rome* i *La Voce della Verita* pośpieszyły z odpowiedzią, że to są to wymysły pism włoskich liberalnych i kilku polaków, pozostających w ich służbie, i że z tego powodu Polska nie ma się czego obawiać. Owo atoli zapewnienie nie zadowolniło polskich publicystów „o lichych uczuciach katolickich,“ w gazetach polskich zaczęła się gorąca polemika z organami Watykanu, w której te również nie szczędziły Polski i polaków, jak gazety polskie Kuryi i samego papieża. Szczególniej odznaczyła się tu *La Voce della Verita*. Z niepojętą nieznajomością rzeczy, albo raczej, jak się wyraża *Głos polski*, z bezwstydem najohydniejszego łgarza, gazeta owa zaczęła dowodzić, że Polska zawiera się tylko w granicach Kongresówki, że Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina są to kraje ruskie, że kościół katolicki za Bugiem (tj. Ruś Chełmska) nie jest kościołem polskim, lecz ruskim. Ma się to rozumieć, iż w owych „sofizmach śmiesznych“ w owem „bezwstydnem kłamstwie“ jednego z ważniejszych organów Watykanu, zagraniczne gazety polskie dostrzegły z przerażeniem „bezwarunkowe uwzględnienie wymagań p. Izwolskiego.“ W tym atoli czasie gdy urzędowy *L'Osservatore Romano* zbywał rzecz ogólnikami „zamiast zaspokojenia obaw polaków przez oświadczenie kategoryczne“ a *Le Moniteur de Rome*, organ nuncyusza wiedeńskiego, Mgr. Galimberti, przedrukowywał z gazet ruskich „odgłosy schlebiające papieżowi,“ *Voce della Verita* w jednym artykule przeszła te organy, a nawet sama siebie, w niesłychanej odwadze. Odróżniając Polskę Sobieskiego od Polski rewolucyjnej Dąbrowskiego, twierdzi ona, wykrzykuje *Głos polski*, „iż nasze legiony były watahą oprzyszków i zbójców, że polacy ograbili świątynię Matki boskiej loretańskiej, złupili Rzym i mordowali rzymian wiernych papieżowi! Gazeta z oburzeniem przedstawia Leonowi XIII, że za jego to pontyfikatu chyba po raz pierwszy, od czasów niepamiętnych, nazywa bohaterów polskich opryszkami, rozbójnikami i zbójcami gazeta katolicka, zależąca od Watykanu i przechodząca przez jego cenzurę. Dostaje się też tutaj Jego świątobliwości i za „unitów.“ Jakkolwiek papież nie może wyrzekać się unitów, zrzecenie się to, wedle słów gazety, istnieje *de facto*; bowiem Leon XIII, wychodząc z błędnego założenia nieszczęsnej, potępionej przez Chrystusa, dyplomacyi, mniema, iż zdoła dopomódz im w drodze dyplomatycznej. Jeżeli papież nie wyrzeknie się tej dyplomacyi to „strasznie odpowie za to przed Bogiem i wszyscy będziemy świadkami ukarania go przez Tego, za czyjego uważa się namiestnika. Wszakże Bóg sądzi ludzi, poucza papieża *Głos polski* nie wedle wskazówek gazet katolickich, ani też według zachwytów jubileuszowych 20 milionów wiernych.

Z przytoczonych próbek można sądzić, do czego dochodzi wzajemna zaciekłość organów polskich i watykańskich w tej polemice bez końca. *Czas* dostał chrypki, powtarzając, że ze strony pierwszych jest to „niepatryotycznie i niebezpiecznie, dla tego bezwątpienia, że papież zniecierpliwiony temi podejrzeniami, a następnie zwątpiwszy o „uczuciach katolickich“ polaków, może nawet zupełnie porzucić troskę o narodowe interesy polaków, troskę tradycyjną, zresztą bardziej fikcyjną niż rzeczywistą i datującą się od niezbyt dawna. Ale polscy narodowo-liberałowie nie dają się ująć. Nie oddziaływają na nich ani zapewnienia krakowskiej, to groźne, to błagalne, ani też zapewnienia organów watykańskich, które w ostatnich czasach znacznie się uspokoiły i obecnie obwiniają za te napaści na papieża głównie prasę „liberalną i antyreligijną całej Europy.“ Ona to niby fałszywie przedstawiła istotę układów i przez to zwiodła niektóre pisma polskie.

Na czemkolwiek jednak zakończy się ta walka dziennikarska, wykazała ona wszakże, jak mniemamy, nader ważny objaw naszych czasów. Katolicyzm stara się oddzielić od polonizmu, tak samo, jak polonizm od katolicyzmu. Jest to, jak się zdaje, ich wspólny interes życiowy, który zatrymuje bezwarunkowo w swym czasie, wcześniej lub później, stosownie do okoliczności.

Kosmopolityczny atoli z natury swej katolicyzm, jak się zdaje, pojmuje już szkodę, jaką mu przynosi owo mięszanie się z polonizmem: gdy ten ostatni zaledwie przeczuwa to instynktowo. Dlatego też inicyatywa rozdziału należy do katolicyzmu. Zbawczy ten jednak proces zupewne przyśpieszy i ułatwi z drugiej strony budzące się w polakach uczucie słowiańskie.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ministeryum oświaty wyjaśniło, że nauczyciele gimnazyalni mają prawo udzielać lekcyj prywatnych ucznìom tych klas, w których wykładają. Władza

szkolna nie może robić w tym kierunku żadnych przeszkód.

W Petersburgu projektują otwarcie szkoły dla elektrotechników.

Przymusowe ubezpieczenie. *Grażdanin* donosi, iż w sferach rządowych przygotowano już projekt przymusowego ubezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków. Zamierzono zobowiązać każdego z fabrykantów do wnoszenia corocznie pewnej sumy, odpowiednio do liczby robotników, z której następnie utworzy się kapitał ubezpieczeniowy.

Rozporządzenie. W rozkazie dziennym p. oberpolicmajstra pomieszczono następujące rozporządzenie: „Uważając za konieczne, aby w miejscach publicznych wszelkiego rodzaju ogłoszenia, cenniki, spisy potraw itp. dla udogodnienia odwiedzającej te zakłady publiczności, były koniecznie drukowane lub pisane w dwóch językach, ruskim i polskim, jak to jest w afiszach — wydałem odnośne rozporządzenie. Przekonawszy się, iż ono w niektórych restauracyach, bufetach, hotelach itd. zupełnie nie jest wykonywane, polecam pp. komisarzom cyrkułowym zobowiązać za pokwitowaniem właścicieli pomienionych zakładów, aby na przyszłość powyżej wskazane cenniki i spisy drukowane były koniecznie w dwóch językach, oraz o niestosujących się do powyższego rozporządzenia uwiadamiać p. oberpolicmajstra.“

Ministeryum komunikacyi ma wydać mapę rzek spławnych w całem państwie.

W Nowej Aleksandryi (Puławach) w Instytucie rolniczo-leśnym, po śmierci docenta Chludzińskiego katedrę hodowli bydła objął p. Michał Prydorogin.

Wyzysk. *Kur. warsz.* donosi, iż według nowego przepisu, wydanego przez zarząd tramwajów warszawskich, kontrolerzy rozjazdowi przy piętnastu godzinach pracy dziennej, mają *jeden* dzień wolny na miesiąc.

Przywóz opium przez granicę lądową azyatycką ma być zupełnie wzbroniony.

Koleje. Projekt budowy odnogi kolei Dąbrowskiej z Radomia do Warszawy został przychylnie przyjęty przez ministeryum komunikacyi.

Poczta. *Sudieb. gaz.* donosi, iż wkrótce ma być podwyższona taksa dla korespondencyi zagranicznej, oraz ulegnie zmianie opłata pocztowa wewnątrz kraju.

Posady. Poruszono ponownie projekt ustanowienia etatowych posad sekretarzów i ich pomocników przy sądach pokoju.

Towarzystwo geograficzne w Petersburgu zwołało wydziały statystyki i etnografii na wspólne posiedzenie celem ostatecznego porozumienia się w sprawie badania stanu ludności litewskiej.

Wydalono z Austryi (według obliczeń tamtejszego ministeryum spraw wewnętrznych) 169 ruskich poddanych, co stanowi czwartą część ogólnej liczby cudzoziemców wydalonych z Austro-Węgier.

W Krakowie szkoła sztuk pięknych rozszerzoną zostaje skutkiem starań Matejki.

Jarmark chmielarski. Ministeryum pozwoliło na coroczne urządzanie w Warszawie jarmarku chmielarskiego, który ma trwać przez dni dziesięć.

Węgiel. P. Kiedrowski, właściciel majątku ziemskiego Dąbrowa pod Wieluniem, odkrył na swoich gruntach pokłady węgla kamiennego.

Elewatory. Przy kolejach Południowo-Zachodnich mają być zbudowane elewatory, czyli składy zboża. Główny z nich na 200 tysięcy czetwierti ma stanąć w Odesie.

Przepisy sanitarne. *Swiet* donosi, iż w ministeryum spraw wewnętrznych opracowany został projekt przepisów sanitarnych, które obowiązywać mają wszelkie fabryki i zakłady przemysłowe. Będą one zastosowane na wiosnę r. b.

Nowe przedsiębiorstwo. *Kur. warsz.* donosi, iż dwaj artyści rzeźbiarze otwierają w Warszawie fabrykę sztukateryi na większą skalę.

Umundurowanie dla wszystkich urzędników Banku państwa ma być wprowadzone w b. m.

Język ruski. Dla kontroli znajomości języka ruskiego na uniwersytecie warszawskim, studenci wydziału lekarskiego odtąd corocznie składać będą egzaminy piśmienne. Na pierwszym kursie będą one równocześnie z egzaminem ustnym. Studenci drugiego kursu w r. b. przedstawić mają rozprawę p. t. „Fizyologia mięśni.“ Studenci trzeciego i czwartego kursu stopień z języka ruskiego otrzymywać będą za t. z. historye choroby. Wszystkie te prace pod względem języka oceniać będzie lektor języka ruskiego, niezależnie zaś od tego — profesor właściwego przedmiotu. Dotąd tylko studenci pierwszego kursu wydziału lekarskiego składali egzaminy z języka ruskiego.

Bibliografia. F. Flamm, *Interpretacya Kodeksu cywilnego* Król. Pols., tom I, zeszyt 3.

— *Wisła*, tom II (za październik — listopad — grudzień).

— *Encyklopedya rolnicza*, wydawana staraniem Muzeum przem. i roln. Zeszyt 2 zawiera: Ałun, Ameryka, Amoniak, Amortyzacya, Anglia chemiczna, Analiza mechaniczna ziemi, Ananas, Anatomia zwierząt ssących domowych.

— A. Dygasiński, *Jak się uczyć i jak uczyć innych*, zeszyt 1—5. Gebethner i Wolff.

Zmarli. Ignacy Domejko, długoletni profesor uniwersytetu w Sant-Jago. Ur. w r. 1802 w pow. nowogrodzkim gub. mińskiej. Skończył akademię wileńską; w r. 1822 otrzymał stopień naukowy na wydziale filozoficznym, następnie studyował nauki przyrodnicze. Później kształcił się w zakładzie górniczym w Paryżu, gdzie się usposobił na zdolnego mineraloga i chemika. W Alzacyi pracował przy hutach. Kiedy rzeczpospolita Chilijska powzięła myśl założenia uniwersytetu w Coquimbo, wezwano Domejkę i ofiarowano mu korzystne warunki, zobowiązując go do założenia laboratoryów i gabinetów. Tam też wykładał mineralogię i chemię, zajmując uczniów ćwiczeniami praktycznemi nad analizą minerałów. Chwile wolne poświęcał korespondencyi naukowej. Rozprawy jego były drukowane w *Annales de mines*. Podczas pobytu w Coquimbo wydał kilka specyalnych prac po hiszpańsku. W r. 1846 rząd chilijski powołał go na katedrę chemii w nowozałożonym uniwersytecie w Sant Jago, oraz powierzył mu wykład fizyki i mineralogii. W tej epoce wydał wiele prac z dziedziny metalurgii, miernictwa górniczego, oraz traktat probierczy. Pisał przeważnie po hiszpańsku i francusku. Z naszych pism zasilał *Bibliotekę warsz.*, *Roczniki Towarzystw literackich* i *Rozprawy* Akademii krakowskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Z. i D. Sien. w Ł. Względnie najlepsze „Hist. lit. pols.“ Spasowicza i Kuliczkowskiego, „Hist. polska“ Bobrzyńskiego i Szujskiego.

Panu P. El. w Lub. Uwagi Pańskie w zasadzie są najzupełniej słuszne; co do wynikającego z nich obowiązku dla *Prawdy*, to: na stałe przeglądy brak nam miejsca, prace godne szerszej uwagi ukazują się w tych wydawnictwach bardzo rzadko i te zwykle zaznaczamy.

Panu W. K. T. To nie obrazek artystyczny, ale zwykła notatka.

Panu Wald. Żadnego z tych dzieł Preela nie znamy, o ich więc wartości objaśnić nie możemy.

Panu W. Tr. Zaniechany.

A. B. C. I znowu rytmika wadliwa. Ale przedewszystkiem niech Pan porzuci ten motyw, bo praca będzie ciągle zmarnowaną z przyczyny, której skutek posłaliśmy.

F. G. B. Prosimy o porozumienie się osobiste w redakcyi.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Sprostowanie. W nr. 4, str. 42, szp. 1, zam. „pospolitego ruszenia,“ winno być „pospolitego mrowia,“ zam. „Melpomena udrapuje to“ — „Melpomena udrapuje się“; szp. 2, zam. „szpetna barwa“ — „szpetna larwa,“ zam. „prowincye franskie“ — „włoskie,“ zam. „no, zgaduję“ — „no, zgadnij“; zam. „nadobna wieszczko“ — „nadobna maseczko.“

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Января 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.